12 stron

Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 23 czerwca 1946 r. | Nr 25 (82)

KONSTANTY GRZYBOWSKI

Próba dojrzałości politycznej

Jawna i niejawna agitacja przeciw pozytywnej odpowiedzi na pytania referendum różnią się może w metodach, nie różnią się jednak w celu, do którego zmierzają. Celem ich jest uczynienie z referendum votum zaufania lub votum nieufności dla obecnego rządu Jawna agitacja uważa, że wystarczającym objawem nieufności dla rządu będzie przecząca odpowiedź na pierwsze pytanie referendum. Niejawna — a w pewnej mierze z ogólnopaństwowego punktu widzenia samobójcza — agitacja propaguje negatywną odpowiedź na wszystkie trzy pytania. Obie popełniają te same dwie pomyłki. Pierwsza z nich polega na zapoznaniu faktu, **kto** stawia pytania, na które ludność ma odpowiedzieć. Druga pomyłka polega na zapoznawaniu różnicy pomiędzy referendum a wyborami do parlamentu czy też plebiscytarnym wyborem rządzących.

Pytania, na które referendum ma odpowiedzieć, stawia nie rząd, lecz Krajowa Rada Narodowa. Ustawa o głosowaniu ludowym została uchwalona w Krajowej Radzie Narodowej jednomyślnie, głosami wszystkich sześciu stronnictw. Jeśliby uważać negatywną odpowiedź na pytania referendum za votum nieufności dla pytającego, to byłoby to votum nieufności dla wszystkich sześciu stronnictw, mających swych reprezentantów w Krajowej Radzie Narodowej, dla wszystkich organizacyj społecznych, kulturalnych i zawodowych, których przedstawiciele zasiadają w Krajowej Radzie Narodowej. Toteż wydaje się zapoznaniem podstawowych reguł lojalnej gry politycznej, gdy stronnictwo, którego przedstawiciele (jak PSL) głosowali w Krajowej Radzie Narodowej za ustawą o głosowaniu ludowym, dziś wzywa do odpowiedzi przeczącej na pierwsze pytanie nie dlatego, by chciało utrzymania senatu, lecz dlatego, że nie podoba mu się działalność większości ministrów obecnego rządu. Albo trzeba było głosować przeciw ustawie o głosowaniu ludowym i konsekwentnie zachować swobodę stanowiska wobec odpowiedzi na pytania referendum, albo — jeśli się głosowało bez zastrzeżeń za ustawą i zawartymi w niej pytaniami — nie wyzyskiwać referendum dla rozgrywki co do kierunku polityki rządu.

Druga pomyłka tych, którzy propagują odpowiedź „nie“ twierdząc, że w ten sposób dadzą wyraz swej nieufności do rządu, świadczy smutno o poziomie znajomości podstawowych zasad ustroju demokratycznego. W referendum ludność odpowiada na konkretne pytania co do konkretnych zagadnień. Jeśli referendum ma być sposobem związania obywateli z państwem i ich uaktywnienia politycznego — to ani agitacja poprzedzająca odpowiedź, ani treść odpowiedzi nie mogą się kierować żadnymi motywami ubocznymi. Przywódcy stronnictw politycznych powinni obywatelowi powiedzieć, co myślą o samych kwestiach zawartych w pytaniach, jak i dlaczego tak a nie inaczej radzą mu odpowiedzieć na te pytania, a nie powinni wyzyskiwać referendum dla innych, z treścią pytań nie związanych celów. Jeśli obywatel odpowie „nie“ na pytanie co do istnienia senatu nie dlatego, by chciał senatu, ale dlatego, bo mu się np. nie podoba minister bezpieczeństwa publicznego, to obraz opinii publicznej, jaki da referendum, będzie fałszywy, a winnymi fałszerstwa będą ci, którzy obywatelowi taką odpowiedź z takich motywów podsuną.

Obywatel zajmuje odpowiadając na referendum stanowisko wobec konkretnych zagadnień. Wobec całości polityki rządzących i wobec osób rządzących zajmuje obywatel stanowisko w wyborach do parlamentu. Mieszanie tych dwóch różnych typów zasięgania opinii wyborców nie jest zgodne z podstawowymi zasadami demokracji, nie daje prawdziwego obrazu opinii publicznej. Taką metodę walki z przeciwnikami politycznymi zastosował już zresztą przedtem kto inny: hitlerowcy i nacjonaliści niemieccy potrafili przed dwudziestu laty wytłumaczyć wyborcom niemieckim, by głosowali przeciwko wywłaszczeniu byłych panujących niemieckich, gdyż głosowanie za wywłaszczeniem będzie votum zaufania dla stronnictwa socjalistycznego. Nie sądzę, by przejmowanie metod urabiania wyborców od tych dwóch stronnictw było i wskazane i bezpieczne dla demokracji.

Referendum powinno wykazać, czy i o ile społeczeństwo polskie jest dojrzałe do bezpośredniego udziału w rządach. Jeśli tego nie wykaże — osłabi możność powrotu do pełnej i szerszej niż dawniej demokratyzacji ustroju. Nie wykaże zaś tego, jeśli niecierpliwi, nie chcąc czekać dłużej na wybory do sejmu, wyzyskają referendum dla walki z rządem. Jak rząd powinien stawiać kwestię jasno: referendum jest aprobatą pewnych osiągnięć rządu w przeszłości, ale nie jest ani aprobatą całej polityki rządu w przeszłości, ani votum zaufania dla osób rządzących — tak przeciwnicy rządu powinni pamiętać, by walcząc z rządem nie podważyli demokratyzacji ustroju politycznego przez utrzymanie dotychczasowej struktury senatu, nie podważyli demokratyzacji ustroju społecznego przez żądanie powrotu do dawnego podziału własności w rolnictwie i przemyśle (a taki byłby logiczny efekt negatywnej odpowiedzi na drugie pytanie), nie podważyli stanowiska rządu na arenie międzynarodowej w sprawie granic zachodnich.

Konstanty Grzybowski

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Niecierpliwa retoryka

DWIE MIŁOŚCI OJCZYZNY

Jest rodzaj miłości ojczyzny w Polsce — doprawdy niegodny. Ileż razy — nad książką romantycznego poety — trzeba było podziwiać równocześnie siłę uczucia i siłę obojętności. Jest zadowolona z siebie, tak dobrze znana z poezji Krasińskiego, miłość Polski wizyjnej, nierzeczywistej! To takie uczucie doprawdy do niczego nie zobowiązujące. Chyba że przywołuje bolesny kontrast egzaltowanych deklaracyj „Przedświtu“ czy „Psalmów“ poety Krasińskiego i prywatnych listów gospodarskich ordynata Krasińskiego, który z rządcami mądrze planował, jak najlepiej ściągać z chłopów należne świadczenia.

Jest też niespokojna, mniej w kraju znana i popularna, a zaświadczana pismami takich ludzi jak Worcell i jemu podobni. miłość Polski rzeczywistej. A taka miłość równa się woli reformy, woli poprawy, celowej, rozumnej, świadomej środków i ofiar.

To drugie uczucie jest trudniejsze. Ale też ono jedynie jest cenne i ludzkie.

Chodzi o to, by kochać Polskę taką, jaka jest w rzeczywistości. Ze wszystkimi jej brakami i słabościami, z przerastającymi siły ludzkie zadaniami do spełnienia, z tym, co nas w kraju odpycha, co ciąży, a czego trzeba się pozbyć — nie romantycznym gestem, ale celowym działaniem.

Taka Polska — zniszczona, z niedostatkami, niesprawnym jeszcze aparatem państwowym, wplątana w sieć międzynarodowych trudności — jest rzeczywistością naszego patriotyzmu.

Urobiła nas nowoczesna kultura, nowoczesna technika i ideologie, stworzone w społeczeństwach zorganizowanych przy pomocy nowoczesnej techniki. Żyć potrafimy już tylko w państwie, którego ustrój, sprawność wszelkich instytucyj i stosunki międzyludzkie odpowiadają potrzebom nowoczesnego człowieka. Nasze poczucie prawa, mimo objawów demoralizacji, jest o tyle wyższe od średniowiecznego, że jesteśmy zdolni odczuwać bardzo subtelnie granicę prawa i samowoli, że bez sprawnie działającej społecznej instytucji prawa nie umiemy żyć normalnie. To jest przykład. Ale tak jest we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Nowoczesne państwa przedstawiają różne typy ustrojowe — wybór ideologii państwowej to sprawa późniejsza. To, co wszystkie te państwa łączy, mimo różnic ustrojowych, to sprawność działania instytucyj społecznych.

Brak tej sprawności najciężej odczuwamy w naszym zdewastowanym i odbudowującym się dopiero kraju. A sprawność ta jest funkcją określonego, dostatecznego w naszych warunkach poziomu techniki.

Każdy fakt życia zbiorowego ma swoją stronę społeczną i techniczną.

Wróćmy do wspomnianego funkcjonowania prawa. Jego stronę społeczną, tzn. przyjętą ideologię prawną na razie pomijamy. Bo pierwszą sprawą jest strona techniczna. Sprawność funkcjonowania prawa w społeczeństwie jest — podobnie jak sprawność funkcjonowania wszelkich instytucyj — sprawą podstawową. A czyż może sprawnie funkcjonować prawo w kraju, w którym szwankuje łączność, w którym linie kolejowe, pocztowe, telegraficzne są zniszczone bardziej niż pozwala na to sprawne funkcjonowanie życia społeczeństwa? To przykład, jak brak w technice łączności paraliżują aparat sądowy czy administracyjny. Lecz powtarzam. tego rodzaju zależności występują we wszystkich dziedzinach życia.

Toteż uczestnictwo w pracy nad odbudową jest prawnym obowiązkiem i wyrazem miłości Polski rzeczywistej.

Musimy zacząć od odbudowy technicznej strony naszego życia zbiorowego, od odbudowy sprawności funkcjonowania instytucyj społecznych. I w tym wysiłku możemy i musimy być jednomyślni i zjednoczeni. **Z tego wypływa prosta konsekwencja, że walczyć między sobą o stronę społeczną form naszego życia, o wybór ideologii państwowej — możemy tylko tak, tylko w takich ramach, aby to w niczym nie naruszało pracy nad odbudową strony technicznej.**

Otóż każda statystyka — tak wydobycia węgla, jak odbudowy fabryk czy odbudowy szkół — mówi nam, że świadomość tych spraw zwycięża. Nasza polityka wewnętrzna zasługuje na aprobatę — bo tempo normalizacji naszego wyposażenia technicznego jest bardzo szybkie i świadczy, że podjęliśmy kroki w istocie celowe, by to szybkie tempo osiągnąć. I osiągnęliśmy je.

Popatrzmy bowiem na załączoną tablicę:

	W kwietniu 1945	W marcu 1946
stali	17.44 ton	103 836 ton
surówki	8 296 ton	62 129 ton
żelaza	13 824 ton	82 125 ton
energii elektr.	111 500 tys. kil.	319 900 tys. kil.
mater. bawełn.	9,5 mil. m.	19,3 mil. m.

Jeszcze wymowniejsze będzie porównawcze zestawienie wyników odbudowy gospodarczej w stosunku do stanu przedwojennego

Muszę nadmienić, że nie odgrywa tu jeszcze decydującej roli większy potencjał przemysłowy naszego kraju w związku z objęciem Ziem Odzyskanych. Wprawdzie wyposażenie produkcyjne tych ziem jest bardzo wielkie, ale jak dotychczas uczestniczy tylko nieznacznie w naszym ogólnym bilansie. Pełne wyzyskanie Ziem Odzyskanych, to ciągle jeszcze jest zadanie, które mamy wykonać. Osiągamy więc wyniki wyższe niż w 1938 r., dźwigając z gruzów te same przedsiębiorstwa, które wtedy istniały.

Przemysły i artykuły	Miara lub waga	Przeciętnie miesięcznie w 1938 r.	W styczniu 1946 r.	Proc. od budowanej prod. w st. do 1938 r.
Energia elektryczna	w 1000 kWh	144,166	345,502	239%
Węgiel kamienny	w 1000 t	3,174	3,600	113%
Koks	ton	194,016	208,886	108%
Brykiety	„	1,454	30,944	2,128%
Ruda żelazna razem z pirytami	„	72,100	26,179	36%
Surówka ogółem	„	60,014	51,806	86%
Odlewy stalowe	„	122,325	92,383	76%
Ruda cynkowa ogółem	„	41,005	39,967	97%
Cement	„	107,426	49,594	46%
Szkło taflowe	„	2,375	3,645	153%
Lokomotywy	sztuk	2,3	14	609%
Wagony towarowe	„	33,2	100	301%
Obrabiarki	„	155	102,4	69%
Przędza ogółem	ton	11,510	5.173,4	45%
Tkaniny ogółem	„	7,938	4,746	59%
Obuwie ogółem	par	174,112	320,988	186%
W tym skórzane	„	125,143	184,975	148%
Papier ogółem	ton	16,282	8,324	51%

TYPOWE WĄTPLIWOŚCI

Cyfry, zestawienia statystyczne osiągnięć mówią, że droga, którą idziemy ku normalizacji i odbudowie technicznych, materialnych podstaw naszego życia jest właściwa. Nie zawsze mówi to doświadczenie jednostki. Dalecy jeszcze jesteśmy od pełnego zaspokojenia potrzeb materialnych każdego obywatela. Lecz zaradzić temu może tylko wytrwałość i czas. Na tle tego niedostatku jednostek budzą się jednak zasadnicze wątpliwości co do celowości polityki gospodarczej i polityki materialnej odbudowy naszego kraju. Słyszy się często pytanie, czy polityka ta kieruje się interesem polskim, interesem obywateli polskich, czy też przenosi ponad nie interesy postronne? Źródłem tych wątpliwości są dwa fakty: położenie większego nacisku na zorganizowany eksportu, aniżeli na zaspokojenie rynku wewnętrznego i położenie większego nacisku na wytwarzanie dóbr służących do dalszej produkcji (jak wagony, maszyny), aniżeli dóbr przeznaczonych do bezpośredniej konsumcji. „Produkujecie na wywóz, więc nie kierujecie się troską o dobro Polaków, ale dbacie o interes zagranicznego odbiorcy! Produkujecie to co służy potrzebom organizacji przemysłu a nie to, co potrzebne jest każdemu co dzień, aby mógł żyć po ludzku, więc przyświeca wam nie troska o obywatela, ale interesy państwa — kapitalisty, które dziś rządzi przemysłem!“ Słyszy się czasem takie rozumowanie. Trzeba odpowiedzieć na nie stanowczo. Pod maską pseudopatriotycznego, natchnionego troską o szarego obywatela frazesu kryje się ciasny egoizm i bezmyślna krótkowzroczność. Naszą polityką gospodarczą rządzi rozumna i podyktowana dobrem kraju zasada: najpierw inwestycje, potem dobrobyt! Każdy w swoim gospodarstwie może sprawdzić jej trafność.

Dziś jest tak na całym świecie — zarówno w zniszczonej Francji, zadłużonej Anglii, jak i spokojnej i zamożnej Danii. Wiele poświęca się dla zorganizowania eksportu, dla nawiązania i utrzymania zagranicznych stosunków hadlowych, źródła surowców i dewiz. Wszystkie kraje zdewastowane przez wojnę lub okupację odejmują sobie od ust, niedostatecznie zaopatrują rynek wewnętrzny, byle móc wywozić. Bo szybko zorganizowany wywóz to źródło stałego dobrobytu w przyszłości, bo szybko zorganizowany wywóz stawia kraj w sytuacji uprzywilejowanej — wobec spóźniających się konkurentów. Kto pierwszy, ten lepszy. Każdy z nas może na małą skalę zaobserwować te same zasady postępowania

w działalności znajomego kupca, rozumnego i cieszącego się powodzeniem. Nasz kraj — tak zrabowany przez okupanta — kraj bez wielu niezbędnych surowców, kraj bez nadmiaru gotowych na sprzedaż towarów, kraj na dorobku, kraj, którego jedynym bogactwem na wywóz jest praca ludzka — musi wiele oszczędzać wewnątrz, aby móc mimo wszystko wywozić. Aby za to sprowadzać narzędzia, surowce, kapitał — to wszystko, co pozwala nam odbudowywać się i zwiększać produkcję tak, by zaspokajała wreszcie potrzeby każdego, co pozwala zwłaszcza za cenę zdobytego tak drogo surowca uruchomiać coraz nowe gałęzie przemysłu i zwyciężać najgroźniejszą klęskę: bezrobocie.

Te same względy tłumaczą i drugą sprawę: uprzywilejowanie dóbr służących organizacji produkcji — w stosunku do dóbr konsumcyjnych.

Tak więc nasza polityka gospodarcza i inwestycyjna — aczkolwiek surowa, aczkolwiek zdaje się często nie widzieć potrzeb ludzkich — jest nie tylko mądra, ale kieruje się głębokim zrozumieniem istotnego interesu polskiego społeczeństwa. I tylko ten interes dyktuje ją, nawet wtedy, gdy codzienne doświadczenie jednostki, pojmującej swój bezpośredni interes w oderwaniu od całości życia gospodarczego kraju, zdaje się mówić co innego. Np. niskie, deficytowe ceny przemysłu państwowego! Łatwo powiedzieć, że za tanio sprzedajemy i pozwalamy się wyzyskiwać zagranicznemu klientowi. A polski robotnik niedojada produkując towar po śmiesznie niskich cenach. Nie chcemy wiedzieć, ile zyskuje polski prywatny przedsiębiorca, a w konsekwencji robotnik i każdy obywatel na tej polityce cen deficytowych w przemyśle państwowym. „Niedoceniony jest bowiem wpływ polityki niskich, deficytowych cen przemysłu państwowego na odbudowę i rozwój przemysłu państwowego i rzemiosła. W roku 1945 wskaźnik produkcji górniczej i hutniczej w stosunku do cen przedwojennych był 5, potem 7, gdy wskaźnik mięsa i tłuszczu był z górą 200. Ale prywatny przemysłowiec czy rzemieślnik, gdy otrzymywał węgiel po 170 zł. za tonę, która kosztowała na wolnym rynku 6 albo 8 tysięcy, gdy otrzymywał tanio prąd albo wyroby włókiennicze, mógł pracować bez kapitału, innymi słowy miał kapitał w tych deficytowych cenach produktów państwowych. Tanie ceny przemysłu państwowego to była jakby korba, która w braku innych motorów, nakręcała życie gospodarcze, ale to mogło zrobić tylko państwo, a nigdy przedsiębiorca prywatny" (wicemin. Szyr).

Tyle o technicznej stronie tego, co się dzieje w Polsce, o tej dziedzinie, którą rządzą żelazne prawa ekonomiczne, surowa konkurencja na rynku międzynarodowym i egoizm handlujących na tym rynku partnerów, którzy wykorzystują każdą przewagę dla zdobycia zysków sobie, co oznacza przysparzanie strat drugiemu.

SPRAWA WOLNOŚCI

Ale równie wiele dyskusyj wywołuje ta druga, społeczna strona tego, co się u nas dzieje: sprawy ideologiczne, sprawa zasad, kierunków i tendencyj rządzących naszą polityką zagraniczną, społeczną i gospodarczą. (Oczywiście — jak się dalej okaże — rozdział ten, faktycznie niemożliwych do oddzielenia dwu stron tego samego zjawiska: technicznej i społecznej, jest sztuczny i został wprowadzony tylko dla jasności wykładu!).

Obecnie, gdy jesteśmy świadkami przekształcenia się mapy Europy, ba, mapy świata, gdy konferencje niewielu zwycięskich mocarstw decydują o sprawach wielu państw i narodów, gdy zachwiane zostały dotychczasowe podstawy współżycia międzynarodowego — pada pytanie, czy jesteśmy prawdziwie wolni? Czy nasza polityka zagraniczna nie lekceważy sobie tej tak ważnej sprawy? Sądzę, że pytanie to zadają sobie również obywatele Czech, Francji, Danii i Holandii. Każdy z tych krajów ma swoje kłopoty — zagłębia poniemieckie, kolonie indochińskie, konflikty z Węgrami, sprawy Szlezwigu, zajmowanej dotąd przez USA Grenlandii, sprawa malajskich kolonii. Sprawy, o których w mniejszym stopniu decydują bezpośrednio zainteresowani — w większym potęgi rządzące światem. Sytuacja ta nie jest historyczną niespodzianką. Najpotężniejszym motorem działania w skali międzynarodowej są zorganizowane siły gospodarcze. Struktura gospodarcza świata, rozmieszczenie ośrodków gospodarczej dyspozycji, powiązanie krajów więzami ekonomicznej zależności decyduje o tym, że świat nasz stał się całością o paru zaledwie ośrodkach kierowniczych.

Rzeczywistość nie jest z plasteliny — stawia opór. Nie poddaje się dowolnie decyzjom naszego sumienia i poczucia słuszności. Wśród czynników, przy których pomocy człowiek buduje porządek na świecie, nie wystarczy uwzględniać zasad moralnych, trzeba pamiętać o wpływie istniejących, wysiłkiem wielu pokoleń, na olbrzymich przestrzeniach zorganizowanych instytucyj materialnego życia, instytucyj, które pokolenia budowały nie wedle naszego poczucia moralnego, ale kierując się zasadami technicznego powodzenia, zasadami obojętnymi, często nawet wrogimi religii sprawiedliwości. Wpływ tej potężnej sieci żywych, działających i rozwijających się instytucyj — kopalń, fabryk, koncernów, banków — instytucyj, od których zależy byt i życie milionów — w zasadniczy sposób rozstrzyga o naszych losach, o losach świata, wyznacza każdemu, kto chce działać w tym realnym, opornym świecie, dla urzeczywistnienia sprawiedliwości, nieusuwalne jednym gestem warunki, a tym samym dyktuje metody i środki działania skuteczne, dostosowane do walki z tymi warunkami.

To co określa kształt całego świata i wyznacza warunki, w których przychodzi nam żyć, działać i walczyć o reformy, znajduje też swoje odpowiedniki w mniejszej skali jednego rejonu, paru krajów sąsiadujących, lub w losach jednego państwa.

Jeśli w odległych okresach historii o zależności narodów decydował tylko podbój fizyczny, to w dobie kapitalizmu sytuacja uległa zmianie. Podobnie było w stosunkach klasowych wewnątrz jednego państwa: zależność feudalna polegała na półniewoli — pańszczyźnie, jeśli idzie o stosunek uprzywilejowanego szlachcica do ograniczonego w swych ludzkich prawach chłopa, zaś w dobie kapitalizmu przy formalnej równości wszystkich wobec prawa — zjawiła się ekonomiczna zależność robotnika od przedsiębiorcy. A jak się to przejawia w stosunkach międzynarodowych? Treścią imperializmu współczesnego nie jest bynajmniej fizyczny podbój, ale niewoląca forma ekspansji gospodarczej. Państwa imperialistyczne wywożą kapitał, kapitał finansowy inwestuje swoje zasoby pieniężne w krajach gospodarczo zacofanych i ciągnąc z tych inwestycyj olbrzymie zyski i procenty, podporządkowuje sobie te kraje tak gospodarczo jak i politycznie z tym, że zachowane są wszelkie zewnętrzne pozory niezależności.

Toteż najistotniejszym narzędziem rzeczywistej wolności jest odporność i niezależność ekonomiczna. Suwerenność gospodarcza decyduje dziś o pełnej suwerenności politycznej.

Ale przejdźmy od opisu tych ogólnych warunków do sytuacji państwa polskiego. Kraj nasz odradzać się począł w ramach określonej sytuacji. Wyznaczył ją bieg wydarzeń u schyłku wojny z Niemcami, układ sił państw walczących i nasz stosunek do tych państw.

Wpływ nasz na układ tych stosunków i ich przemiany jest ciągle niewielki. Toteż sądzę, że wyrazem dobrego rozumienia interesu polskiego będzie przyjęcie dwu podstawowych zasad naszej prawdziwej niezależności.

1. Utrzymanie najbardziej lojalnej z obu stron polityki sojuszów z naszymi sąsiadami, zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim, aby stworzyć dostateczną zaporę przeciw ciągle grożącej nam agresji niemieckiej. Inaczej nie zdołamy utrzymać całości kraju, którego granice wyznaczyła nam wojna, jej przebieg i wynik. A zrobienie wszystkiego, co nakazuje nam dla ich utrzymania polityczna rozwaga, jest najważniejszym obowiązkiem patriotycznym.

2. **Uświadomienie sobie, że pełną wolność musimy sobie dopiero wywalczyć.** Osiągniemy zaś tę istotną niezależność przez rozbudowę naszego potencjału gospodarczego, przez umocnienie naszej niezawisłości ekonomicznej, przez eliminację naruszających naszą niezależność wpływów ekonomicznych z zewnątrz. Walka o naszą wolność, walka o nasz głos i jego wagę w sprawach międzynarodowych, to walka o naszą siłę gospodarczą. Walkę tę toczy się w naszych fabrykach, portach, na stacjach przeładunkowych, w zagospodarowywaniu Ziem Odzyskanych. Każda wygrana potyczka przybliża ostateczne zwycięstwo: wolność i niezawisłość.

Toteż każdy, kto wybrawszy właściwe, ekonomiczne i efektywne środki ponosi dziś ofiary, aby przyśpieszyć naszą odbudowę gospodarczą — jest dobrym patriotą i dobrze służy wolności kraju.

IDEOLOGIA REFORM

Trzeba się więc nam zastanowić, czy ideowe wytyczne naszej polityki gospodarczej rzeczywiście zapewniają jej ekonomię działania i środków, efektywność i szybkość osiągania rezultatów. Zastanowimy się zatem, czy obecna polityka Polski służy jej wolności. Oczywiście wchodzą tu w grę nie tylko zagadnienia ściśle ekonomiczne, ale też ustrojowe a nawet społeczne. Idzie bowiem o ideową treść całości naszego życia zbiorowego. Czy i ona odpowiada wymaganiom patriotyzmu?

Zasadniczą sprawą będzie tu problem trójplanowej realizacji demokracji: politycznej, społecznej i ekonomicznej. Konkretnym jej wyrazem są nasze podstawowe reformy: rolna i przemysłowa, oddanie warsztatów pracy rolnika i robotnika w ręce pracujących. Czy przeprowadzenie tych reform było istotnie najpilniejszą potrzebą narodową i obowiązkiem patriotyzmu?

Jesteśmy krajem, który konsekwentnie i do końca nie przeprowadził żadnej reformy. Ani tej związanej z reformacją w XVI w., ani tej związanej z rozkładem feudalizmu w XVIII. Mściło się to na nas zacofaniem i słabością, wyzyskiwaną przez wrogów. Źródłem siły krajów zachodnio-europejskich były niewątpliwie ich rewolucyjne, konsekwentnie przeprowadzone reformy. Rozmach kapitalistycznej Anglii — w dobie rozkwitu i postępowości kapitalistycznych form produkcji u schyłku XVIII i w pierwszej połowie XIX w. zrodził się z celowości i konsekwencji jej reform. Stworzył on potęgę kraju, podstawę powodzeń mieszczańskiego stulecia, a także przyniósł obywatelskie i kulturalne zdobycze, które nawet przeżywając się w biegu historii mają trwałe znaczenie w życiu narodu jako osiągnięty stopień postępu, umożliwiający łatwe postawienie dalszego kroku naprzód.

Nie obyło się oczywiście bez trudności i ofiar. Rewolucja agrarna w Anglii XVIII w. była niesłychanie brutalna. Chłopa bezlitośnie usunięto z ziemi. Ale scalone w ten sposób majątki stały się materialną podstawą dla wprowadzenia kapitalistycznych metod produkcji w rolnictwie. Bezrolni chłopi stali się armią proletariuszy, których ręce uruchomiły kapitalistyczną produkcję fabryczną. A niewątpliwie ten typ produkcji lepiej zaspokajał podstawowe potrzeby społeczeństwa angielskiego, aniżeli dotychczasowe feudalne sposoby wytwarzania. Czy procesy te zresztą mogły przebiegać inaczej, bardziej ludzko i sprawiedliwie, od razu zwycięsko dla pracujących mas? Nie będziemy się nad tym zastanawiali, bo nie to jest ważne dla naszego zagadnienia.

Dla nas ważne jest to, iż w świetle historycznej i moralnej oceny możemy słusznie potępić w tych przeobrażeniach gwałt, niesprawiedliwość, egoizm klasowy, musimy jednak uznać pozytywną rolę historycznej konsekwencji w urzeczywistnieniu szybko, twórczo, z rozmachem i celowością przodującego wówczas porządku kapitalistycznego na ziemi angielskiej. Ograniczamy się do tych dwu ocen, bo interesuje nas porównanie z sytuacją polską, gdzie nie przeprowadzono ani wtedy ani nigdy potem konsekwentnej reformy, co pociągnęło za sobą tragiczne następstwa: wiekowe upośledzenie i opóźnienie w historycznym rozwoju.

Przyswajaliśmy sobie kapitalistyczne formy produkcji zawsze zdystansowani, zawsze w niesprzyjających warunkach, zawsze pchani przez obce siły, służąc ich, nie własnemu interesowi, zawsze w niewoli potężniejszego, dojrzalszego a egoistycznego kapitału obcego, bądź zaborcy, bądź ekonomicznego zdobywcy, inwestującego kapitał na naszych ziemiach w celach eksploatacji rabunkowej. Ale czy, wyrzekając się korzyści konsekwentnych reform, zdołaliśmy chociaż uniknąć moralnej ohydy, która niezaprzeczenie cechuje walki klasowe dotychczasowej historii? Czy rzeczywiście Polska była „Polską Chrystusową", jak to głosili romantycy. Wiemy dobrze, że tak nie było. Prawda o losie chłopa pańszczyźnianego w Polsce, który nie przeżył celowej i śmiałej kapitalistycznej rewolucji, była jeszcze bardziej ohydna aniżeli krzywda chłopa angielskiego.

Historyczna bezczynność, jałowość i bezradność naszych warstw panujących wcale nie sprawiła, żeby jaśniały one cnotami. Przeciwnie, długie trwanie bolesnych, jak wżerające się w ciało zbyt ciasne i ostre kajdany, przeżytków przeszłości tym bardziej dotkliwie odbijało się na doli warstw uciskanych. Niedostatki techniczne trwających bez zmian, od wieków przeżytych form pracy — wynagradzały sobie warstwy panujące właśnie stale zwiększanymi ciężarami, rosnącym wyzyskiem, obciążaniem jedynej zawsze twórczej siły w tym kraju — pracującego człowieka. Nie byliśmy „Polską Chrystusową" — byliśmy krajem szlacheckiego zacofania i chłopskiego ucisku. Tylko postęp techniczny, tylko konsekwentna reforma mogła usunąć ten ciężar krzywdy, mogła torować drogę sprawiedliwości, której nie osiągnie się bez postępu i to bez postępu technicznego, bez zdobyczy materialnych i społecznych ludu.

Nie przypominałbym tych spraw przeszłości, gdyby nie ciążyły na nas do dziś, gdyby te formy klasowe niedołęstwa i egoizmu nie odżywały stale w ideologiach wpływowej niestety części naszej inteligencji (ze środowiska dawnej Narodowej Demokracji) jako wyraz współczesnego wstecznictwa. Wstecznictwa, które w ten sposób próbuje legitymować się tradycją narodową, próbuje dyskontować jako moralne dobro narodowe ten faktyczny brak konsekwentnej woli reformy w naszej przeszłości. To upodabnianie naszego życia historycznego do stojącej sadzawki było źródłem największego zła społecznego w Polsce. Zubożało kraj, tamowało rozwój nowych sił, skazywało samodzielne ruchy chłopskie i robotnicze na jałowe przełamywanie tego bezruchu, zamiast pozytywnej, nowatorskiej twórczości.

Każdy nowator w Polsce był skazany na wykonywanie zadań spóźnionych w stosunku do reszty świata. Usuwanie przeżytków pozostałych po niedokonanych rewolucjach zużywało większość energii społecznej twórczych klas narodu. Budowanie nowego porządku, doskonalenie tego co było społecznie żywe i zdolne do dalszego rozwoju środkami właściwymi naszym czasom zawsze musiało być na drugim planie.

Ale te kulturologiczne ogólniki nie ukazują całej siły i rozciągłości zła, przeciw któremu są skierowane! Chciałbym ukazać wam przejrzysty obraz naszego kraju i te czarne plamy najgroźniejszych schorzeń. Żebyście mogli to ujrzeć oczyma wzruszenia, żeby wasza myśl była słusznie oburzona. Obraz taki przedstawia czujne serce Stefana Żeromskiego. Przypomnę jego broszurę „Organizacja świata pracy" (w książce „Bicze z piasku"), pisaną na progu pierwszej niepodległości w 1918 r. Przypomnę wytężoną działalność i pisma wodzów chłopskiego ruchu od prawego do lewego skrzydła, od Witosa do Thugutta. Przypomnę prace naszych postępowych uczonych: „Młode pokolenie chłopów" Chałasińskiego, zbiory pamiętników: chłopów, emigrantów, robotników, bezrobotnych, ankiety Oderfeldówny wśród młodzieży, statystyki stanu powszechnej oświaty Falskiego.

Ci pisarze i badacze dali ogromną ilość przerażających faktów, wyciągnęli z nich uczciwe, rozumne wnioski: klęską materialną i kulturalną naszego kraju był wadliwy ustrój rolny, była przewaga korsarskich metod gospodarki przemysłowej rabujących kraj karteli. Te siły dławiły u nas swobodę myśli, łamały polot reform szkolnych, rujnowały nas materialnie, kpiły z naszej formalnej suwerenności politycznej, decydowały o naszej polityce wewnętrznej i zagranicznej, odbierały nadzieje stworzenia fundamentu dla naszej wolności.

Osią historii naszego dwudziestolecia międzywojennego była walka o reformę rolną, o wyzwolenie chłopa, była walka o reformę przemysłową, o złamanie przemocy kapitału monopolistycznego. W walce tej ścierały się najlepsze siły naszego narodu. Epizodem tej walki była sprawa brzeska, była Bereza, były strajki rolne i rozpaczliwa walka naszych robotników, twórców „polskiego strajku". Takie ujmowanie naszej historii, naszej drugiej niepodległości jest zgodne z faktami, jeśli nie chcemy patrzeć na historię lat 1918—1939 jako na dzieje małej grupy kapitalistyczno-ziemiańsko-urzędniczej, tak jak starzy historycy patrzyli na dzieje Polski pojmując je jako dzieje szlachty. Dziejami bowiem rządzą rzeczywiste siły społeczne: klasy społeczne powiązane wielorakimi więzami wewnętrznie, a między sobą zróżnicowane — przede wszystkim z racji odmiennej roli w procesach produkcji.

Ideologicznie dojrzałym wyrazem dążeń tych klas są programy ich przodujących grup, zorganizowanych partyj politycznych. A wiemy, jak doniosła jest rola partyj politycznych w dobie demokracji parlamentarnej, która pojawiła się wszędzie po r. 1918. Otóż w programach naszych partyj chłopskich i robotniczych wyrażających dążenia ruchu chłopskiego i robotniczego, reforma agrarna i przemysłowa zajmuje miejsce centralne. Partie te głosiły potrzebę reformy agrarnej i przemysłowej. Ale równie centralne miejsce zajmowały te sprawy w programach ugrupowań prawicy, które broniły istniejącego stanu rzeczy. Polityczna ofensywa faszyzmu i próby niweczenia samodzielnego ruchu chłopskiego i robotniczego — to było tylko spotęgowanie obrony gospodarczego stanu posiadania uprzywilejowanych.

Pod tym znakiem kształtowała się działalność wymienionych partyj również w dziedzinie czysto politycznej, administracyjno-samorządowej i kulturalnej. Wystarczy wspomnieć o bezowocności tej walki, o klęsce planu reformy rolnej przed 1939 r., o rosnących wpływach karteli w Polsce przedwrześniowej.

Toteż wysuwając na czoło naszych zadań reformę rolną i reformę przemysłową, spełniliśmy podstawowy postulat patriotyzmu. A spełniliśmy rzecz niełatwą, jeśli uprzytomnimy sobie, jak nieosiągalną była ona przez całe międzywojenne dwudziestolecie. Jak załamywali się wtedy wybitni ludzie, zasłużeni przywódcy ruchu ludowego i robotniczego. Jak nie mogli tych reform urzeczywistnić, gdy byli u władzy. A wszyscy pamiętamy czasy, gdy premierem był Witos czy Moraczewski.

Publicyści próbowali już przedstawić osiągnięcia obu naszych reform. Fr. Gil opisał „Żniwo wielkiej reformy" w szeregu artykułów w „Odrodzeniu" i w oddzielnej broszurze. Maria Jarochowska przedstawiła w trzech artykułach w „Odrodzeniu" sprawy naszej uspołecznionej produkcji przemysłowej. Jan Kott zajął się kwestią węgla (artykuł w „Kuźnicy" i oddzielna broszura).

Do spraw tych wracają nadto często w swych przemówieniach działacze polityczni a także prasa codzienna. Zresztą każdy z nas obok siebie, w swojej okolicy może obserwować i oceniać rezultaty tych reform.

Nastąpiło przede wszystkim wyzwolenie potężnych sił społecznych, wyjście ze ślepego zaułka borykania się z przeżytkami przeszłości. Rozpoczęła się twórcza i planowa, celowa i rozumna organizacja materialnych form życia zbiorowego już na miarę potrzeb społecznych. Oczywiście dokonywa się to przez walkę klasową, ale zadania, które dziś przed nami stoją — po urzeczywistnieniu omawianych reform — to są przecież zadania już wyższe, historycznie dojrzalsze, bliższe sensownego ładu społecznego, aniżeli te, które stały przed nami w ostatnim półwieczu, wypełnionym właściwie ciągle tą samą, ciągle niespełnioną treścią dążeń społecznych narodu, począwszy od ostatniej mieszczańskiej i jednocześnie pierwszej robotniczo-chłopskiej rewolucji w 1905 r.

Jeśli chodzi o reformę przemysłową, to dzięki niej tempo odbudowy po drugiej wojnie światowej jest wielokrotnie szybsze — mimo większych zniszczeń — aniżeli po pierwszej. Dzięki niej polityka odbudowy kieruje się interesem ogólnonarodowym, a nie inter-

sami kapitału. Dzięki niej opanowano np. zjawiające się po wstrząsach wojennych procesy inflacyjne, zwalczono bezrobocie, wprowadzono planowość gospodarki. I takie postępowanie dyktuje potrzeba budowania naszej wolności: swobody wewnętrznej i suwerenności zewnętrznej.

Jeśli chodzi o reformę agrarną, to pociągnęła ona za sobą niespotykany dotąd w naszych dziejach masowy awans społeczny wsi. Rola wsi w rządzie, samorządzie i kulturze, wyrażająca się w udziale chłopskich partyj, w rozroście i wpływach chłopskich organizacyj gospodarczych decydujących o naszym życiu ekonomicznym, w rozbudowie chłopskich instytucyj kulturalnych i rolniczego szkolnictwa zawodowego, w udziale chłopów w instytucjach państwowych, administracji i samorządzie — to wszystko świadczy o masowości, zasięgu i rozmiarach tego awansu.

Przeobrażenie rzeczywistości polskiej nie dokonało się bez ofiar, bez rezygnacji z pewnych mniej ważnych zadań i postulatów, których jednoczesne realizowanie nie było w ludzkiej mocy. Ale należy uświadomić sobie fakt, że po raz pierwszy w dziejach Polski zamierzona reforma została dokonana. I miejmy tyle pokory, by uznać, że popełniane przy tym błędy czy zaniedbania były historyczną koniecznością, były między innymi warunkiem tego jedynego u nas urzeczywistnienia społecznego zamiaru młodych i niedoświadczonych w technice działania klas. Zwłaszcza, że rady na to nie było, bo doświadczeni w technice działania chcieli być tylko świadomym swych środków hamulcem, niszczycielem zbiorowego zamiaru.

POLSKIE STRONNICTWA LEWICY

Być może, że w niektórych ludziach twórcy tych reform budzą nieufność. Bo nie okłamujmy się, nikt inny poza od lat przekonanymi, konsekwentnymi pionierami lewicowego ruchu robotniczego i chłopskiego — nie umiałby i nie zdołałby dokonać tego rewolucyjnego dzieła. Wiemy, że nawet demokratycznie usposobieni, a bardziej kompromisowi działacze radzi byli odłożyć te sprawy do decyzji izb ustawodawczych. A los projektu reformy rolnej z 1920 r. pouczył nas, co to warte. Czyny rewolucyjne urzeczywistniają się tylko drogą rewolucji, tylko przez rewolucyjne siły.

Rozumiem przecież, dlaczego w niektórych demokratach-patriotach tej konsekwentnej lewicy mogą budzić tradycyjną nieufność. Usiłują oni nawet przekonać, że ta nieufność jest obowiązkiem patriotycznym. Sądzę, że za tym wszystkim kryje się błędne przekonanie oparte na częściowo słusznych, ale nieaktualnych przesłankach. Ludowe ruchy lewicowe mają wśród swych ideowych tradycyj hasła kosmopolityczne. Nie zbladł zresztą i dziś dla miłującego sprawiedliwość człowieka ideał międzynarodowego braterstwa, ideał jednoczenia się i zespalania państw i narodów we współdziałające ze sobą związki.

Nie da się również zaprzeczyć, że w przeszłości ruchów lewicowych w Polsce i poza Polską było wiele błędów. Zwłaszcza u nas błędnie ujmowano nieraz sprawę niepodległości oraz jej stosunku do walki o wyzwolenie społeczne klas uciskanych. Ale w historii tych ruchów nie brak tradycji walk z tymi błędami.

Mimo to dzisiejsze postępowe, radykalne ruchy robotnicze i chłopskie mają zupełnie inne oblicze. Wolne od wspomnianych błędów. W ruchach tych bowiem nie ma skostniałych doktrynerów, ale są żywi działacze wyrażający dążenia swego czasu, myślący kategoriami historycznymi. Ważna jest dla nich aktualna sytuacja klas, do których należą, a nie sytuacja sprzed dziesiątków lat.

Można więc powiedzieć: fakt, iż w Polsce lud stał się gospodarzem kraju, zmienił program radykalnych partyj robotniczych i chłopskich, sprawił, że ruchy te przeszły głęboką ewolucję.

Dotychczas wydziedziczeni akcentowali swą międzynarodową wspólnotę niedoli. Lecz dziś wywalczywszy sobie ojczyznę — kraj, w którym gospodarują, akcentują wyraźnie, że ojczyzna jest podstawą dobra i dorobku mas ludowych. I to jest realna ocena sytuacji i obecnego interesu mas. Nie przekreśla ona danego celu: międzynarodowego pokoju, braterstwa i współżycia.

Ci, którzy dotychczas walczyli o polityczne, społeczne i ekonomiczne równouprawnienie i wyzwolenie, akcentowali swoją odrębność, dążyli do odseparowania się od przeciwnika, podkreślali swą odrębność społeczną, broniąc tylko polityki klasy robotniczej, akcentując nawet odrębność kulturalną, odrębność proletariackiej kultury. Dzisiaj zwycięzcy są zwolennikami polityki broniącej interesów całego narodu, tj. ogółu pracujących, zarówno proletariuszy jak drobnych posiadaczy. Podkreślają swój związek z tradycją narodu, jego kulturą, zdobyczami przeszłości, wszystkimi trwałymi wartościami, których nie mają się zamiaru wyrzekać, przeciwnie, traktują je jako istotne dobro wszystkich odsuwanych dotychczas od kultury ogólnonarodowej i od historycznych tradycyj Polski.

W przeszłości ruchu lewicowego, zwłaszcza robotniczego, związanego z ideologią socjalizmu naukowego, można wyodrębnić trzy fazy rozwoju: 1) kształtowanie doktryny w drugiej połowie XIX w., 2) tworzenie wielkich robotniczych organizacyj zawodowych i politycznych na przełomie XIX i XX w., i 3) realizacja dążeń reformatorskich proletariatu właśnie począwszy od końca pierwszej wojny światowej. Nie znaczy to oczywiście, by nie było wybitnej twórczości ideowej w okresie drugim i trzecim, a organizacyjnej w trzecim.

Obok legend o wrogim idei ojczyzny kosmopolityzmie i wrogim jednolitym frontom narodowym separatyzmie klasowym, nieufność do ruchu lewicowego budziła trzecia legenda: o sztywności doktrynerskiej ruchu robotniczego, sztywności nie liczącej się ze zmienną historyczną rzeczywistością. Przeczyły wprawdzie temu fakty, przeczył rozwój myśli socjalistycznej, ale uprzedzeni widzieli tę sztywność w każdym ideowym haśle, zwłaszcza w okresie, gdy postulaty socjalizmu nie były jeszcze realizowane w gospodarce. Dziś niewątpliwie sytuacja o tyle się zmieniła, że genialne przewidywania twórców naukowego socjalizmu stały się z postulatów teoretycznych realnymi prawami, obcymi wszelkiej zaciekłości doktrynalnej i wszelkiej utopii. Dziś postulat planowości gospodarki jest hasłem wszystkich rozsądnych ekonomistów i działaczy gospodarczych. Tak jest i z innymi koncepcjami.

Czas więc zrewidować i tę legendę o doktrynerstwie w ruchu robotniczym. Zwłaszcza iż każdy nieuprzedzony obserwator może łatwo zauważyć, że w tym trzecim okresie, okresie realizacji postulatów — ruch ludowy odznacza się szczególną elastycznością. Można bowiem tworzyć konsekwentną i mającą zawsze trwałą wartość ideologię, mniej troszcząc się o dostosowywanie jej do przemijających sytuacji w niekończącym się łańcuchu przemian. Wystarczyło ująć tylko ogólne zarysy. Już okres tworzenia organizacji, wprowadziwszy wiele konkretnych szczegółów wymagał modyfikacji ogólnych postulatów.

Nasz okres, okres realizacji postulatów socjalizmu, obejmującej wszystkie dziedziny życia, wymaga szczególnej elastyczności. I ruch ludowy ma tę elastyczność. Dowodem jest choćby oburzenie naiwnych, którzy zupełnie tracą orientację, gdy słyszą komunistę broniącego prywatnej inicjatywy w granicach zakreślonych przez interes narodu. Tym naiwnym trzeba wytłumaczyć, że nie ma sprzeczności między aktualną polityką a ideami socjalizmu. Naukowy socjalizm bowiem jest metodą obserwowania faktów, ich teoretycznego wyjaśniania i wyciągania trafnych wniosków praktycznych.

A więc socjalizm naukowy to nie końskie okulary przeszkadzające widzieć rzeczywistość. I to decyduje. Właśnie marksiści — wierni zasadom swej metody rozumienia zjawisk historycznych — muszą rozpoczynać od sumiennej analizy faktycznego stanu rzeczy.

To, co dzieje się w Polsce, jest sytuacją bez precedensów, zupełnie swoistą. Ruch robotniczy dąży do ustroju socjalistycznego i z tym się nie kryje. Lecz dość już niejasnego gadania, że jedność tego ruchu w Polsce, współpraca dwu partyj robotniczych — jest tylko jednością taktyczną mimo różnic ideologicznych, że jedność ta podyktowana została tylko przez patriotyzm, przez zrozumienie konieczności łączenia wysiłków w trudnych i wyjątkowych warunkach odbudowy. A ponieważ cel ten przerasta wszystkie cele partyjne, może jednoczyć i jednoczy.

Jest bowiem inaczej. Uznanie, zgodne z metodycznymi zaleceniami Marxa, nowego układu sił społecznych i nowego układu gospodarczego Polski w warunkach powojennej Europy i świata, doprowadziło u nas do zasadniczego uzgodnienia programów ideowych dwu tradycyjnych partyj robotniczych. Wyrzeczenie się błędów przeszłości zarówno PPS jak i KPP doprowadziło do jedności ruchu robotniczego i współpracy spadkobierczyń dawnych odłamów ideologicznych tego ruchu. Oczywiście jest wiele powodów praktycznych, które nie pozwalają dziś stworzyć jedności organizacyjnej tych dwu partyj. Niemniej jednak współczesny ruch robotniczy widzi możliwość pokojowego przechodzenia do ustroju socjalistycznego, widzi możliwość oparcia się w tych dążeniach na demokracji ludowej, na instytucji parlamentu ludowego, na gospodarce spółdzielczej, na uspołecznionym przemyśle. Ruch robotniczy nie widzi w polskich warunkach potrzeby dyktatury proletariatu, nie widzi potrzeby, aby Polska miała przejść przez ten ustrój, którego wzór stworzyła Rosja czy Ukraina Radziecka.

Ruch robotniczy lepiej niż nielegalna opozycja rozumie obowiązek patriotyczny.

Hitleryzm do tego stopnia wyniszczył naród polski, że każda krwawa próba przebudowania stosunków w Polsce byłaby tylko uderzeniem w naród, byłaby zgubą fizyczną, ostateczną klęską narodu. Ruch robotniczy tworząc materialne podstawy pokojowej przebudowy ustroju — daje właśnie dowody rzeczywistego patriotyzmu.

Podobny sens ma konkluzja całości rozważań: **To, czego w Polsce dokonał wysiłek ludu, jest właśnie wyrazem prawdziwie patriotycznego obowiązku wobec kraju.** Zrodziło się z dojrzałej myśli patriotycznej i z tego uczucia miłości ojczyzny, które wskazuje drogę reform i naprawy zła.

Stefan Żółkiewski

Z OGÓLNOPOLSKIEGO SALONU W WARSZAWIE

EUGENIUSZ EIBISCH **Portret**

ZBIGNIEW PRONASZKO **Portret poety**

W poprzednim (81) numerze „Odrodzenia" z dnia 16 czerwca 1946: **Maria Jarochowska** (rysunki **Edwarda Głowackiego**): Ludzie, którym nie stawia się pomników. — **Kornel Filipowicz:** Śnieg. — Malarstwo polskie (**Zygmunt Waliszewski**). — **Tadeusz Breza:** Intelektualiści francuscy w walce z okupacją. — Malarstwo francuskie (**Paul Cézanne**). — Z poezji rosyjskiej: **Osip Mandielsztam** (przełożył **Jerzy Pomianowski**): * * *. — **Jan Walczak:** Szkodliwa książka. — **Jan Dürr-Durski:** „Wesele" Wyspiańskiego w związku ze współczesną literaturą polityczną. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia". (**Jan Brzoza, Antoni Gładysz, Wanda Karczewska, Konrad Konior, Karol Koranyi, Tadeusz Lehr-Spławiński, Hilary Majkowski, Józef Nacht, Mieczysław Opałek, Jan Pachoński, ks. Henryk Weryński**). — **Józef Sieradzki:** Bakcyl niewoli. — **Artur Sandauer:** Parę uwag o egzystencjalizmie. — **Wojciech Natanson:** Dwa teatry — czy jeden? — **Stefan Papée:** Cierniakowa dola. — **Józef W. Reiss:** Wstydliwość. — **Zbigniew Lengren** (rys.): Ruch wydawniczy w Warszawie ożywia się. — **Henryk Vogler:** Poezja żołnierstwa i tęsknoty. — **Stanisław Nowaczyk:** „Pieniądze fikające, ryczące i machające ogonem". — **Aleksander Ossowski:** Polacy w walce z Niemcami. — Teatr Miejski w Lublinie. — **Witold Ziembicki:** O eunuchach i kastracji. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — **js:** Polska współczesna. Węgiel brunatny. — **Marian Promiński:** Kronika filmowa. — Teatr Dolno-Śląski w Jeleniej Górze. — **Henryk Vogler:** Nowe wiersze Zechentera. — Korespondencja (**Zofia Ziębicka, Henryk Jasieński**). — 10 ilustracji. — 12 stron.

WACŁAW ZAWADZKI

Od Monachium do drugiej wojny światowej

Jak min. Beck nie dopuścił do koalicji antyhitlerowskiej

Wypadki, które nastąpiły w Europie po Monachium, są tak pełne tragicznego napięcia, że suche zazwyczaj dokumenty i raporty dyplomatyczne nabierają charakteru dramatu, w którym akcja rozwija się z wciąż rosnącym natężeniem.

Artykuły W. Bednarczuka w „Odrodzeniu" oświetliły w pewnej mierze sytuację w okresie Monachium. Postarajmy się rozpatrzyć pobieżnie dzieje 9 miesięcy — od grudnia 1938 r. do dnia wybuchu drugiej wojny światowej we wrześniu 1939 r.

Po pewnym ochłodzeniu stosunków między Anglią a Niemcami, które nastąpiło częściowo wskutek presji brytyjskiej opinii publicznej, wysiłek dyplomacji niemieckiej zwraca się z kolei w stronę Francji, którą Rzesza pragnie pozyskać dla swej polityki.

Francja w tym czasie znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wskutek błędów swoich poprzednich rządów utraciła autorytet i poparcie u państw ku niej ciążących w Europie. Konferencja w Monachium skompromitowała ją zupełnie, Francja wyrzekła się bowiem polityki bezpieczeństwa zbiorowego, której hołdowała dotąd, zdradziła swego sprzymierzeńca, z którym była związana sojuszem wojskowym, rozbiła małą Ententę — filar swej polityki środkowo-europejskiej, wyrzekła się karty polskiej.

Wśród polityków francuskich wypływają na wierzch elementy hitlerofilskie. Ułatwia im to konferencja monachijska i porażka angielska na tej konferencji.

6 grudnia 1938 r. minister spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop przyjeżdża do Paryża. Szuka tu porozumienia i poparcia dla wciągnięcia Francji do współpracy z Rzeszą. Ukazuje się wspólna deklaracja francusko-niemiecka o nieagresji.

Dążeniem polityki niemieckiej w tym czasie było odciągnięcie Francji od Anglii, utworzenie bloku państw kontynentalnych pod przewodnictwem Niemiec, izolowanie w ten sposób wielkiej Brytanii, odebranie jej wpływu na sprawy europejskie i zmuszenie jej w końcu, aby przystąpiła do montowanego przez Rzeszę frontu antyradzieckiego.

W kołach francuskich, mających w owym czasie znaczenie i wpływ na rząd, koncepcja ta znajdowała zwolenników. Ci politycy, dla których front antyradziecki i walka hitleryzmu z postępem i demokracją na skalę europejską a nawet światową, były bardzo na rękę, chcieli nie tylko, aby Niemcy uznali francuskie granice europejskie, ale także, aby we wspólnej deklaracji potwierdzili nienaruszalność francuskich obszarów kolonialnych.

Tego rodzaju deklaracja była dla Niemiec w owym czasie bardzo niewygodna ze względu na przyjaźń z Włochami, którzy właśnie ostrzyli sobie apetyt na francuskie kolonie.

Flirtowi francusko-niemieckiemu sprzyjały koła faszyzujące we Francji. Trwał on długo, mimo iż rokowania z Ribbentropem w Paryżu nie doprowadziły do konkretnych wyników.

Autor przedmowy do „Polskiej Białej Księgi" *), wydanej nielegalnie w Warszawie podczas okupacji, tak charakteryzuje wyniki wizyty Ribbentropa w Paryżu w dniu 6. XII. 1938 r.: „Niemcy starają zabezpieczyć się na Zachodzie, a **Francja wydaje się im ułatwiać tę grę**" („Polska Biała Księga", str. 88; podkreślenie moje). Potwierdza więc fakt, że w klice polityków francuskich, która rządziła Francją w okresie Monachium, były silne prądy dążące do ugody z Trzecią Rzeszą.

*) Literatura dotycząca drugiej wojny światowej i jej przeddziejów jest już dość bogata, choć w kraju zupełnie niedostępna.

Prócz „Polskiej Białej Księgi", wydanej w Paryżu w roku 1940 w języku francuskim i tłumaczenia polskiego w skrócie, które wydrukowano nielegalnie pod okupacją, ukazało się wiele pamiętników dyplomatów działających w okresie między Monachium a drugą wojną światową oraz następujące zbiory dokumentów wydane przez państwa biorące udział w wojnie:

1. British War Blue Book (Brytyjska Niebieska Księga Wojenna), New-York, 1939.
2. French Yellow Book (Francuska Żółta Księga), New-York, 1940.
3. Sbornik dokumentow o wniesznej politike SSRR. Moskwa, Gospolitizdat, 1944. Ukazał się tom I. Tom II i III w druku.
4. Peace and war. United States Foreign Policy. 1931—1941. Washington, 1943.
5. Dokumente zur Vorgeschichte des Krieges. Berlin, 1939.
6. Weissbuch der Deutschen Regierung. 2 tomy. Wyszło także francuskie i angielskie tłumaczenie.
7. Istorija diplomatii. Moskwa 1941—46, 3 tomy. (Rozdział tej książki poświęcony rokowaniom dyplomatycznym poprzedzającym drugą wojnę światową wydrukowany został w nr. 21 czasopisma „Bolszewik" za rok 1945 oraz przetłumaczony i umieszczony w „Polsce Zbrojnej").

Niemcy wydali również zbiór polskich dokumentów dyplomatycznych, znalezionych rzekomo przez nich w Pałacu Brühlowskim (Ministerstwo Spraw Zagranicznych) po zajęciu stolicy.

Zbiór ten zawiera po większej części raporty naszych placówek dyplomatycznych nadsyłane do centrali. Do każdego dokumentu dołączone jest zdjęcie fotograficzne stronicy oryginału.

Uważne przejrzenie załączonych facsimilów przekonywa, że mamy tu do czynienia z nieumiejętnie wykonanymi falsyfikatami. Tak np. na jednym z raportów jest dopisek piórem min. Becka: „przesłać do Londyna". Poseł nasz z Waszyngtonu pisze w raporcie, że synowie ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu „mają ucho u Prezydenta Roosevelta".

Jakkolwiek mamy ogromne zastrzeżenia co do działalności min. Becka i ambasadora Potockiego, to jednak wiemy na pewno, że tego rodzaju polszczyzny nie używali.

Ale sam flirt z Francją nie wystarcza. Hitler próbuje szachować Wielką Brytanię zupełnie z innej strony. „Podczas tradycyjnego przyjęcia korpusu dyplomatycznego w Berlinie w dniu Nowego Roku — pisze w swym raporcie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych ambasador w Moskwie, Grzybowski — zaszedł wypadek nieoczekiwany. Kanclerz Hitler rozprawiał z ambasadorem sowieckim dłużej niż z innymi. W Moskwie uczyniono wiele hałasu wokół tego faktu. Pan Potemkin opowiadał mi o tym szczegółowo i z pewną przyjemnością... Wkrótce potem rozeszła się w Moskwie wiadomość o przewidzianym zresztą przybyciu niemieckiej delegacji ekonomicznej z p. Schnurre na czele. Podaję, jako fakt charakterystyczny, że delegacja ta przybyła w istocie tylko do Warszawy około 25 stycznia, ale zawróciła z drogi i wróciła prosto do Berlina" („P. B. K.", str. 67).

Po Monachium stosunki między Rosją Radziecką a państwami zachodnimi były bardzo chłodne. Rosja rozumiała grę Wielkiej Brytanii w Monachium. Zmiany w układzie politycznym Europy bez udziału Rosji, wyłączenie Rosji z polityki europejskiej, podrażniły jej ambicje jako mocarstwa i musiały wpłynąć na jej postawę wobec Wielkiej Brytanii i Francji.

Polityka monachijska przekreśliła zupełnie osiągnięcia z lat 1934—38, jeśli idzie o stosunki europejsko-sowieckie, zlikwidowała ostatecznie pakt francusko-sowiecki.

Stosunek Niemiec do polityki brytyjskiej był pełen nieufności. Hitler orientował się doskonale, że ustępstwa w Monachium były na Anglii wymuszone i bał się momentu, kiedy osłabionym, wplątanym w wojnę z Rosją Sowiecką Niemcom W. Brytania podyktuje swoje warunki i zmusi je do takiego układu politycznego, który by zapewnił równowagę sił w Europie i hegemonię Wielkiej Brytanii. Na tego rodzaju politykę, która odbierała Niemcom wszystkie korzyści zwycięstwa, a nakładała na nie cały ciężar walki, Hitler nie mógł się zgodzić.

Po usunięciu wpływów angielskich z kontynentu (zjednaniu sobie Francji), po wytrąceniu atutu rosyjskiego (neutralność Rosji) Hitler będzie mógł szachować Wielką Brytanię i, jak się to mu już nieraz udawało, drogą nacisku i szantażu wymóc na niej dalsze ustępstwa i zgodę na **czynny współudział** w walce z Sowietami. Tylko w tym wypadku zwycięstwo Niemiec byłoby pewne, tylko wtedy miałyby one zabezpieczone tyły w czasie walki.

Jeżeli pominiemy nawet tradycyjną niezręczność niemieckiej dyplomacji w przeprowadzaniu planów, zbyt wczesne odkrywanie kart, uderzanie w stół w momencie, gdy jeszcze należy mówić głosem spokojnym, a nawet przyciszonym, brak umiejętności wczucia się w psychikę kontrahenta lub przeciwnika, które to braki wskutek specyficznych warunków, w jakich pracowała i wychowana została dyplomacja hitlerowska, jeszcze się potęgowały, (należało bowiem co pewien czas podniecać masy jakąś efektowną bombą doraźnego sukcesu w polityce zewnętrznej), to u podstaw tej dyplomacji w okresie od września 1938 r. aż do wybuchu drugiej wojny europejskiej leżała wspomniana już przeze mnie zasada: zmusić Anglię do **wspólnej** razem z Niemcami i innymi państwami europejskimi akcji na Wschodzie. W specyficznej atmosferze, w jakiej działał Hitler i jego dyplomacja, akcja ta tworzyła warunki, które pozwoliłyby wymóc na Anglii tę współpracę drogą nacisku i szantażu.

Po wizycie paryskiej Ribbentrop bawi 25—27 stycznia 1939 r. w Warszawie. Konferencje warszawskie są dalszym ciągiem rozmów prowadzonych przez min. Becka z Hitlerem w Berchtesgaden.

Chodzi w nich o zjednanie Polski do wspólnej walki z Niemcami przeciwko Rosji Sowieckiej. Sprawy Gdańska i Pomorza porusza się na tych konferencjach dość oględnie i stanowisko dyplomatów niemieckich nie jest ściśle precyzowane. Ribbentrop i kanclerz kilkakrotnie powtarzają, że sprawy te należy rozpatrywać „na platformie wielkiej polityki" („P. B. K.", raport Lipskiego do min. Becka z 9. XI. 1938 r., str. 26), „vom saekuleren Standpunkt", „z punktu widzenia stuleci" — „na daleką metę" („P. B. K.", notatka hr. Szembeka z 1. II. 39, str. 20), z „wyższego punktu widzenia" (amb. Lipski do min. Becka o rozmowie z Ribbentropem 21. III. 39, „P. B. K.", str. 29).

Pozostawiwszy jednak sprawę porozumienia z Francją i Polską i wciągnięcia tych państw w orbitę polityki niemieckiej na uboczu, Hitler zwraca się w stronę Czechosłowacji, dokonywa ostatecznego rozbioru tego kraju, likwiduje resztki pozorów samodzielności Czech i włącza je jako „Protektorat Czech i Moraw" do Rzeszy. Pociągnięcie to, które niewiele zmieniało położenie tego kraju, było jednym z najniezręczniejszych pociągnięć Hitlera w jego ówczesnej działalności. Wszystkie plusy tej aneksji zostały z nadwyżką pochłonięte przez minusy, które wynikły z tego posunięcia dla polityki niemieckiej.

Było jasne: 1) tylokrotnie, nawet w czasie Monachium, wygłaszana przez Hitlera zasada, że chodzi mu tylko o zjednoczenie narodu niemieckiego w jednym państwie i o przyłączenie obszarów etnicznie niemieckich, — została zaniechana; 2) podpisany uroczyście 29 września 1938 r. pakt w Monachium już 15 marca 1939 r., a więc w niespełna pół roku, zostaje samowolnie zerwany.

Był to policzek wyraźnie wymierzony Wielkiej Brytanii, demonstracja, która miała pokazać, jak Trzecia Rzesza mało liczy się z Anglią.

Nadmiar siły, jaką rozporządzała wówczas Rzesza w Europie Środkowej, odbierał jej politykom konieczne w takim wypadku poczucie miary i taktu, które daje silnemu wszystkie korzyści, a niepotrzebnie nie rozdrażnia i nie jednoczy przeciwników.

Słuszne więc i prorocze były słowa słynnego historyka francuskiego Fustel de Coulangesa, który na początku ery pobismarckowskiej powiedział do Wilhelma II: „bójcie się być zbyt silnymi".

Ostateczna likwidacja państwa czeskiego odbywa się w tradycyjny sposób.

14 marca 1939 r. prezydent Hacha jest wezwany do Hitlera, a 15 marca podpisuje wszystkie postawione przez niego warunki. Słowacja zostaje ogłoszona „państwem niepodległym", Węgry zajmują Ruś Przykarpacką.

Spodziewać się po Hasze i ludziach, będących wtedy w Czechach u władzy, jakiegoś bardziej godnego zachowania się, byłoby naiwną nieznajomością tego typu ludzi, których przedstawicielem był p. Hacha. Oszczędzają sobie nieprzyjemnych scen, zbytecznych słów i gestów, a Hitler jest tak wzruszony, że pannie Hacha, która wraz z ojcem przybyła do Niemiec, każe wręczyć w swoim imieniu bukiet pąsowych róż.

W następnym tygodniu (22. III. 39) załatwiono się z Litwą. Po konferencji z litewskim ministrem spraw zagranicznych wojska niemieckie obsadzają Kłajpedę i przyłączają ją do Rzeszy.

Mussolini dotrzymuje kroku hitlerowskiej Rzeszy i w kwietniu 1939 r. likwiduje samodzielne państwo albańskie. Wojska włoskie obsadzają Walonę i Tiranę, stolicę kraju. Król Zogu idzie na wygnanie a państwo jego zostaje wcielone do królestwa włoskiego.

Na horyzoncie politycznym Europy zaczynają się gromadzić coraz gęstsze chmury. Ciśnienie polityczne przenosi się z kolei na wschód — w stronę Polski.

O ile w styczniu i lutym, rząd niemiecki nie wychodził wobec Polski poza ogólnikowe aluzje, to w marcu aluzje te przyjmują już wyraźniejszy charakter.

W rozmowie z ambasadorem Lipskim Ribbentrop mówi już nie tylko o prawnych konstrukcjach i ustroju politycznym Wolnego Miasta Gdańska, ale także i o Pomorzu, „które należało do Drugiej Rzeszy i Polska uzyskała te terytoria jedynie dzięki klęsce Niemiec" („P. B. K.", raport amb. Lipskiego do min. Becka, str. 29); Ribbentrop zaznacza, że Hitler zniechęcił się dotychczasowym stanowiskiem Polski, radzi więc nie przewlekać sprawy, „aby kanclerz nie doszedł do wniosku, że Polska odrzuca wszystkie jego propozycje" („P. B. K.", tenże raport, str. 30) W konkluzji raportu z dnia 21. III. 39 ambasador Lipski pisze: „Propozycja nowej rozmowy, której termin Ribbentrop pragnie przyśpieszyć, stanowi dowód, że **Niemcy zdecydowały się na szybką realizację swego programu wschodniego** i wobec tego chciałyby dokładnie poznać stanowisko rządu polskiego" (tamże, str. 31; podkreślenie moje).

Odpowiedź rządu polskiego udzielona w instrukcjach dla ambasadora Lipskiego wyraźnie mówi o granicach, w których mogą się toczyć rokowania między Polską a Rzeszą.

„Rząd polski jest skłonny opracować wspólnie z rządem Rzeszy sposoby nowego uproszczenia i nowych ułatwień tranzytu kolejowego i samochodowego między Rzeszą a Prusami Wschodnimi w tym celu, aby obywatele niemieccy nie byli narażeni na niepotrzebne trudności przy posługiwaniu się tymi środkami komunikacyjnymi. W tym duchu techniczni rzeczoznawcy mogliby przedsięwziąć stworzenie pewnych projektów, które by ułatwiły stopniowo wspomnianą komunikację także i z punktu widzenia technicznego. Niemniej te ułatwienia, przyznane na terytorium polskim, mogłyby w praktyce być realizowane **tylko w ramach suwerenności Polski, a więc eksterytorialność dróg komunikacyjnych nie wchodzi w rachubę.** Z tym jednym wyjątkiem intencje rządu polskiego dążą do jak najliberalniejszego traktowania niemieckich dezyderatów..." Co się tyczy sprawy Gdańska, rząd polski sądzi, że można znaleźć rozwiązanie, „oparte na wspólnej gwarancji polsko-niemieckiej... Gwarancja ta musiałaby z jednej strony zaspokajać dążenia nacjonalistyczne ludności, z drugiej zabezpieczać interesy polskie, które zresztą są zbieżne z interesem ludności Wolnego Miasta, którego dobrobyt od wieków oparty jest na polskim handlu zamorskim" („P. B. K.", str. 32).

Jeśli chodzi o sprawę osobistej rozmowy między Hitlerem a ministrem spraw zagranicznych Polski, o czym wspominał w rozmowie z ambasadorem Lipskim Ribbentrop, instrukcja zaznacza, że jakkolwiek takie konferencje są ogromnie ważne i korzystne, konieczne jest jednak, „aby tego rodzaju rozmowy były przygotowane przez uprzednie i co najmniej ogólne wyjaśnienie spraw, o których ma być mowa. Przy obecnie panującej atmosferze, kontakty osobiste, które nie dałyby pozytywnych rezultatów, mogłyby spowodować oziębienie w stosunkach między obu państwami" („P. B. K.", str. 32).

W rozmowie z ambasadorem von Moltke w dniu 28. III. 39 minister Beck jeszcze dokładniej określił stanowisko rządu polskiego w sprawie Gdańska, mówiąc: „zmuszony jestem oświadczyć w imieniu mojego rządu, że wszelka interwencja rządu niemieckiego w celu zmiany status quo, istniejącego w Gdańsku, będzie uważana jako agresja w stosunku do Polski... Również analogiczne usiłowania ze strony Wolnego Miasta wywołają natychmiastową reakcję rządu polskiego.

Ambasador Moltke: — Pan chce prowadzić układy pod groźbą bagnetów?

Minister Beck: — Podług waszego systemu". („P. B. K.", notatka z rozmowy min. Becka z ambasadorem von Moltke w dniu 28. III. 39).

Jak widzimy, sprawy zostały postawione już dość jasno, rozmowy przybrały ostry ton, konflikt dojrzał i lada spięcie groziło wybuchem.

Jeśli w roku 1934 na samym początku ujawnienia się agresji niemieckiej Francja wzięła w swoje ręce inicjatywę przeciwstawienia się Rzeszy, montując pakt wschodni, to po Monachium w roku 1939 Francja stoi zupełnie na uboczu, zachowuje się biernie i nie robi nic, aby przeciwstawić się niemieckiemu naporowi na wschód i południe Europy.

Choć wówczas samej Francji grozi agresja niemiecka, nie ma ona już dość siły, aby zorganizować mniejsze państwa do wspólnej walki.

Upadek Francji i jej znaczenia wskutek błędnej polityki w latach 1935—36 i następnych, gdy równocześnie rosła potęga niemiecka, doprowadził do tego, że przestano się liczyć z Francją jako mocarstwem.

W łonie samego rządu francuskiego i wśród polityków prawicowych bardzo silne są tendencje do współpracy z państwami faszystowskimi i złudzenia, że w ten sposób uda się uratować całość lub co najmniej większą część francuskich posiadłości kolonialnych.

W Anglii z wielkim niepokojem śledzono wzmaganie się tych prądów i nastrojów we Francji. Rozumiano tam dobrze, że wskutek zachwiania się autorytetu Anglii po historii z Abisynią, a szczególnie po konferencji w Monachium, jeszcze jedno jej ustępstwo, choćby mniejszego znaczenia, ostatecznie ją skompromituje w oczach Europy. W tym momencie każde ustępstwo Wielkiej Brytanii byłoby równoznaczne ze słabością, a więc niemożnością wpływania na politykę europejską, co musiałoby pociągnąć za sobą utworzenie kontynentalnego bloku niemiecko-włosko-francuskiego pod przewodnictwem Niemiec, bloku, który usunąłby Anglię od wszelkich wpływów na dalsze losy polityki europejskiej. Oznaczałoby to, że Anglia przestała być mocarstwem, a więc wlokłaby się w ogonie polityki innego mocarstwa: Niemiec lub Rosji Sowieckiej.

Tym się też tłumaczy, że Wielka Brytania, która od wieków niechętnie zawierała sojusze wojskowe z państwami europejskimi i która swym przymierzom nadawała bardzo luźny, nieokreślony i płynny charakter (przypomnijmy sobie chociażby alians angielsko-francuski z roku 1904, trójporozumienie angielsko-francusko-rosyjskie z roku 1907, które były luźnymi porozumieniami, a nie przymierzami wojskowymi, jak sojusz rosyjsko-francuski), że ta sama Anglia w marcu 1939 r., zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego jej jako mocarstwu, udziela niedwuznacznych gwarancji Rumunii i Grecji przeciwko wszelkiej napaści na całość ich terytoriów, szuka porozumienia na wzór paktu wschodniego, które by obejmowało Anglię, Francję, Rosję i Polskę, zawiera wreszcie sojusz wojskowy z Polską.

Podkreślić też należy, że Anglia przeciwstawia się agresji Niemiec w krajach, którymi polityka angielska specjalnie się nie interesowała (Rumunia, Polska), że zgłasza veto w sprawach Gdańska i Pomorza, co do których dyplomacja i opinia wpływowych kół

brytyjskich podzielały dotychczas stanowisko niemieckiego rewizjonizmu.

W okresie od końca marca do września 1939 r. sytuacja polityczna w Europie zmieniła się tak dalece, że pod grozą utraty niezależności i znaczenia mocarstwowego Wielka Brytania musiała przeciwstawić się agresji hitlerowskiej w każdym punkcie Europy i to w sposób bardzo stanowczy, grożąc nawet interwencją zbrojną.

Anglia zaczyna zabiegać o stworzenie frontu antyniemieckiego, szuka porozumienia z Rosją Sowiecką.

Dnia 3 kwietnia 1939 r. podczas dyskusji nad polityką zagraniczną Wielkiej Brytanii w Izbie Gmin, premier Chamberlain charakteryzuje sytuację polityczną i stosunek do innych państw, szczególnie do Rosji Sowieckiej.

„Nie mam zamiaru — mówił premier — wyliczać tych rządów, z którymi obecnie, czy w najbliższej przyszłości zamierzamy naradzać się nad sytuacją. Muszę jednak wspomnieć o ZSRR, ponieważ zdaję sobie sprawę, że członkowie opozycji wciąż myślą o ZSRR i podejrzewają, że tak zwane różnice ideologiczne mogą nas dzielić w sprawach, które leżą w interesie obu krajów. Ani na chwilę nie będę próbował przeczyć, że takich różnic ideologicznych nie ma. Są bez wątpienia, ale jeśli chodzi o nasze stanowisko, to ideologiczne różnice, wszystko jedno jakiej natury, nie mogą mieć wpływu na tego rodzaju zagadnienia. **To, co nas obecnie obchodzi, to sprawa naszej niepodległości.** Kiedy jednak myślę o niepodległości, to myślę o niepodległości nie tylko naszego kraju, ale także innych państw, którym mogłaby grozić agresja. Z tego względu witamy życzliwie współpracę każdego państwa bez względu na jego wewnętrzną formę ustrojową, nie dlatego, że w naszych zamiarach leży agresja, ale dlatego, że chcemy się jej przeciwstawić" (podkreślenie moje).

W mowie tej premier angielski wyraźnie określił związek istniejący w danym momencie między sprawą istnienia Wielkiej Brytanii, jej niepodległością i niezależnością polityczną a kwestią agresji niemieckiej w Europie.

W ciągu marca Anglia szuka kontaktu i porozumienia z Rosją Sowiecką dla wciągnięcia jej do współpracy i wspólnej akcji przeciw Trzeciej Rzeszy.

18 marca rząd Wielkiej Brytanii zapytuje rząd ZSRR, czy zgodzi się na podpisanie wspólnej deklaracji rządów Wielkiej Brytanii, Francji, ZSRR i Polski przeciwko agresji niemieckiej i na porozumienie w sprawie sposobów przeciwstawienia się tej agresji.

Rząd radziecki odpowiedział, że co prawda „taka deklaracja nie rozwiązuje zagadnienia", jednak jej się nie sprzeciwia.

Rozpoczęły się rokowania angielsko-sowieckie, które trwały 5 miesięcy i nie dały rezultatu.

23 marca 1939 przybył do Moskwy naczelnik departamentu handlu zamorskiego Wielkiej Brytanii p. Hudson, a po jego wyjeździe rokowania prowadził wspólnie z posłami Wielkiej Brytanii i Francji p. Strang, naczelnik departamentu spraw europejskich w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii.

Związek Radziecki proponuje zwołanie konferencji państw zainteresowanych albo zagrożonych przez Niemcy.

Anglia przeciwstawia tej koncepcji koncepcję własną — porozumienie 4 państw: Anglii, Francji, Rosji i Polski w sprawie „sposobów celem stworzenia wspólnego oporu przeciwko wszelkiej akcji napastniczej ze strony Niemiec". Poseł Wielkiej Brytanii w Warszawie, sir Howard Kennard, dnia 21. III. 1939 r. składa w tej sprawie rządowi polskiemu memorandum następującej treści:

„1. Niedawne wcielenie Czechosłowacji przez Niemcy wykazuje wyraźnie, że rząd niemiecki jest zdecydowany wyjść poza cel, do którego się dotychczas przyznawał, a którym miało być zjednoczenie rasy niemieckiej. Obecnie rozciągnął swoją zaborczość na inny naród, a ostatnio okazuje się, że jest to po prostu jeden z objawów polityki zdążającej do hegemonii i że nie będzie już żadnego państwa w Europie, które by nie było bezpośrednio i ostatecznie zagrożone.

2. W takich warunkach rząd J. K. M. uważa za wskazane przystąpić niezwłocznie do zorganizowania wzajemnej pomocy ze strony tych, którzy zdają sobie sprawę z konieczności obrony międzynarodowego społeczeństwa przeciwko ostatecznemu pogwałceniu zasadniczych praw, na których jest ono oparte.

3. Jako pierwszy krok proponuje, aby rządy francuski, sowiecki i polski przyłączyły się do rządu J. K. M. w celu podpisania i ogłoszenia formalnego oświadczenia, którego proponowane warunki szłyby po następującej linii: My niżej podpisani, należycie do tego uprawnieni, oświadczamy niniejszym, że wobec tego, że pokój i bezpieczeństwo Europy są przedmiotem naszego wspólnego interesu i troski i że pokój i bezpieczeństwo europejskie mogłyby być naruszone przez wszelką działalność, stanowiącą zagrożenie niepodległości politycznej któregokolwiek państwa europejskiego — odnośne nasze rządy postanawiają niniejszym porozumieć się natychmiast między sobą w sprawach dotyczących środków mających być powziętymi w celu stworzenia wspólnego oporu przeciw wszelkiej agresji tego rodzaju.

5. Rząd J. K. M. gotów jest podpisać tę deklarację w chwili, gdy trzy inne rządy wyrażą gotowość uczynienia tegoż.

6. Rząd J. K. M. proponuje nie mówić niczego na ten temat innym zainteresowanym rządom, dopóki cztery mocarstwa nie uzgodnią powyższej deklaracji".

Z tego dokumentu, niezbyt ściśle i dokładnie precyzującego formę porozumienia czterech mocarstw, wynikają jednak niezbicie dwa fakty:

1) Wielka Brytania chce wyjść poza ogólną deklarację, która miałaby być powzięta na konferencji obejmującej wiele państw, ale chce nadać tej konferencji formę porozumienia czterech najważniejszych państw, przy czym prosi rządy, do których skierowała pismo, o dyskrecję wobec innych państw zainteresowanych.

2) Anglia podkreśla, że deklarację wspólną podpisze, gdy trzy inne rządy wyrażą podobną gotowość.

Minister Beck w odpowiedzi danej hr. Raczyńskiemu, ambasadorowi w Londynie, odrzuca myśl porozumienia czterech mocarstw i przeciwstawia tej koncepcji „dwustronne porozumienie w duchu proponowanego oświadczenia".

W tej sprawie min. Beck pisze do ambasadora Raczyńskiego: „Rozmawiałem dzisiaj tutaj z ambasadorem angielskim o projekcie tego rodzaju porozumienia, dodając, że z Francją posiadamy traktat przymierza z roku 1921 i że Anglicy mają ze swej strony porozumienie z Paryżem, tak, że gdyby układ między naszymi dwoma rządami doszedł do skutku, nie będzie on stał w żadnej sprzeczności ani z polityką polską, ani angielską w stosunku do Francji". („P. B. K.", Instrukcja min. Becka dla hr. Raczyńskiego z dnia 23. III. 39, str. 35—36).

W instrukcji min. Becka do ambasadora Łukasiewicza w Paryżu z dnia 27. III. 39 czytamy:

„Proszę oświadczyć rządowi francuskiemu, najlepiej przewodniczącemu Rady Ministrów p. Daladier, że rząd polski poczynił pewne zastrzeżenia w sprawie angielskiej propozycji wspólnego oświadczenia Wielkiej Brytanii, Francji, ZSRR i Polski. Zastrzeżenia te tłumaczą się faktem, że nie wierzymy, aby tego rodzaju akt mógł być wystarczający. Niemniej rząd polski nie uchyla się od rozmów dwustronnych z rządem brytyjskim na temat, który miał być przedmiotem oświadczenia.

Rząd polski pragnie przy tej okazji oświadczyć rządowi francuskiemu, że uważa wszystkie tego rodzaju rozmowy polsko-brytyjskie za równoległe do stosunków polsko-francuskich oraz za wzmocnienie przymierza między Polską a Francją" („P. B. K.", str. 36).

Jak widzimy, Polska odrzuca koncepcję angielską porozumienia czterech mocarstw (W. Brytanii, Francji, ZSRR i Polski), przeciwstawia jej projekt dwustronnego porozumienia angielsko-polskiego, które ze względu na istnienie porozumienia angielsko-francuskiego i sojuszu polsko-francuskiego z roku 1921, staje się porozumieniem trzech mocarstw: Anglii, Francji i Polski — zwróconym przeciw Niemcom. Min. Beck stanowczo odrzuca myśl wciągnięcia do tego porozumienia Związku Radzieckiego.

Serdeczne pożegnanie Ribbentropa w Warszawie w styczniu 1939 r.

Jest to dalszy przejaw polityki min. Becka, prowadzonej od roku 1934; przeciwstawiała się ona wciągnięciu ZSRR do systemu ochrony bezpieczeństwa w Europie przed agresją hitlerowską. Jest to podobne stanowisko, jakie zajęła Polska wobec koncepcji min. Barthou w roku 1934.

Odrzucenie przez Polskę propozycji min. Barthou w sprawie rozbudowania zbiorowego systemu bezpieczeństwa i obrony Europy przed agresją hitlerowską wzmocniło pozycję Hitlera w Europie, związało Polskę z Niemcami i państwami osi (przypomnijmy sobie akcję Polski wspólnie z Niemcami i Włochami w sprawie nowego podziału kolonij, stałe dyskredytowanie na łamach prasy i w propagandzie urzędowej „demokracji zachodnich", jako ustrojów skazanych na zagładę, których miejsce zajmą „zdrowe organizmy wyłonione przez rewolucje narodowe", stosunek do zaborów hitlerowskich w Europie do sprawy Hiszpanii itd.) i w konsekwencji doprowadziło do Monachium, kiedy Polska razem z Niemcami i Węgrami wzięła udział w rozbiorze Czechosłowacji i cieszyła się ze wspólnej granicy węgiersko-polskiej, powstałej wskutek utworzenia „Protektoratu Czech i Moraw". Przez tę politykę Polska była osamotniona, okrążona ze wszystkich stron i znalazła się w kleszczach militaryzmu niemieckiego.

Beck w rozmowie z lordem Halifaxem

Upierania się przy takiej polityce po doświadczeniach Monachium, odrzucenia propozycji angielskiej w sprawie wciągnięcia ZSRR do wspólnej akcji przeciw Niemcom hitlerowskim, mimo beznadziejnej sytuacji militarno-strategicznej kraju, nie można przypisywać tylko lekkomyślności, głupocie i zbrodniczej ignorancji (choć i to było), jest to raczej rezultat utrzymania się koncepcji piłsudczykowsko-beckowsko-sanacyjnej, koncepcji przedmurza wschodniego, misji dziejowej Polski i szukania porozumienia z Niemcami *).

Beck, Śmigły i inni politycy sanacyjni wierzyli, że, razem z monachijczykami Zachodu, dojdą do jakiegoś porozumienia, że znajdą wspólną platformę z Rzeszą hitlerowską.

Szli więc na rękę działającym dość energicznie na Zachodzie ugrupowaniom polityków monachijskich, którzy bez wahania sprzedali Czechosłowację i uznali inne państwa Europy Wschodniej i Południowej razem z Polską za teren ekspansji niemieckiej.

Polityka Becka, jego kategoryczna odmowa zawarcia przymierza i współdziałania z Rosją Sowiecką była najbardziej pewnym fundamentem współpracy państw europejskich z Hitlerem, podstawą polityki monachijskiej. Po klęsce „monachijczyków" polityka Becka była w opinii angielskiej największą przeszkodą do stworzenia frontu państw europejskich przeciw Hitlerowi i zorganizowania bezpieczeństwa zbiorowego. Odmówienie współpracy z ZSRR przez Polskę było najpoważniejszym argumentem Chamberlaina i towarzyszy przeciwko członkom jego partii konserwatywnej i innych stronnictw, którzy pytali, dlaczego nie da się stworzyć frontu bezpieczeństwa zbiorowego. Chamberlain odpowiadał krytykom, że dzieje się dlatego, że państwa, które mają z tej obrony i bezpieczeństwa korzystać, jak najenergiczniej protestują przeciw takiej organizacji.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Beck i Śmigły prowadzili taką politykę w chwili, kiedy wojna Polski z Niemcami była nieunikniona, że sytuacja geograficzna i strategiczna kraju nie dawała Polsce żadnych szans w walce, w której nie mogła liczyć na oparcie o Rosję i jej pomoc, że gra szła o byt państwa, a nawet o samo istnienie narodu, to politykę taką trzeba uznać za zbrodnię i zdradę.

Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że wojska niemieckie i sowieckie musiały przemaszerować przez terytorium polskie (Śmigły chyba nie wierzył, że sam da sobie radę z armią niemiecką, że po utracie Śląska, gdzie skupione są najpotrzebniejsze do obrony kraju surowce, że bez pomocy Rosji obrona mogłaby mieć jakieś szanse, albo że Francuzi zjawią się nad Wisłą), inaczej mówiąc, skoro w żadnym wypadku nie podobna było uniknąć tego, co według Rydza-Becka było największym złem, to w takim razie polityka ta zastanawia swoim ograniczeniem i głupotą.

Rozpatrzmy z kolei dalszy przebieg wypadków w Europie.

Negatywne stanowisko wobec sprawy wciągnięcia Rosji do bloku antyniemieckiego z góry torpedowało i uniemożliwiało powstanie takiego bloku. Anglii i Francji nie podobna było wciągać Rosję do sojuszu dla niesienia pomocy Polsce, jeżeli Polska takiej pomocy sobie nie życzyła.

Dlatego też Wielka Brytania w memorandum z dnia 21. III. 39 zaznacza, że podpisze wspólną deklarację, jeżeli pozostałe rządy (Polska, Francja, Rosja) zgodzą się na zawarcie takiego porozumienia.

W tym konkretnym wypadku najwięcej trudności przysparzało stanowisko Polski i tę okoliczność bierze pod uwagę nota angielska, gdy domaga się jednomyślności.

Pogląd rządu angielskiego w tej sprawie uzasadnia sir John Simon w debacie Izby Gmin w dniu 13. IV. 39 r. Na zapytanie posła Daltona, czy rząd uwzględnia możliwość zawarcia aliansu wojskowego między Wielką Brytanią, Francją a ZSRR odpowiada min. Simon:

„Te sprawy nie są tak proste, jakby się wydawało. Nie wydaje mi się, żeby mimo całej potęgi Rosji wszystkie nasze wysiłki miały się koncentrować tylko na tym państwie. Musimy o tym myśleć, że istnieją jeszcze inne państwa, którym grozi bardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo niż Rosji. **Aczkolwiek nie mogę powiedzieć, czy tego rodzaju propozycja została przez rząd angielski zrobiona, mogę zapewnić Izbę, że rząd angielski nie będzie miał nic przeciwko temu, gdyby taką propozycję postawiono"** (podkreślenie moje).

Nie mogąc podać do wiadomości publicznej treści poufnego memorandum angielskiego do Polski, Francji i ZSRR, min. Simon podkreśla, że stanowisko Polski ma w tym wypadku duże znaczenie i daje do zrozumienia, że alians taki jest możliwy, tylko w razie porozumienia wszystkich partnerów.

Wyraźniej o tych trudnościach mówią Chamberlain w Izbie Gmin i lord Halifax w Izbie Lordów dnia 3. IV. 1939 r.

W exposé na temat polityki zagranicznej dnia 3. IV. 1939 r. Chamberlain powiedział o ZSRR: „Mamy do wypełnienia bardzo trudne zadanie. Należy brać pod uwagę nie tylko to, czego się samemu życzy, ale także i to, czego chcą inni partnerzy". („We have to consider not only what we wish, but what other people are willing to do").

Lord Halifax w przemówieniu w Izbie Lordów precyzuje wyraźniej te trudności:

„Narady toczą się nadal i nie mogę obecnie o nich wydać ostatecznego sądu. Mogę jednak powiedzieć, że rząd J. K. M. zdaje sobie dobrze sprawę ze znaczenia stanowiska rządu sowieckiego i przywiązuje wielką wagę do dobrych stosunków z tym rządem. Nie można jednak zapomnieć, że postawa niektórych państw wobec ZSRR komplikuje się wskutek szczególnych warunków, aczkolwiek mogę zapewnić Izbę, że **jeśli idzie o rząd J. K. M., to dla niego tego rodzaju trudności nie istnieją".**

15 kwietnia rząd brytyjski zapytuje przez swego ambasadora w Moskwie rząd ZSRR, czy zgadza się dać jednostronną gwarancję Polsce i Rumunii.

Odpowiedź rządu sowieckiego z dnia 17. IV. wysuwa projekt zawarcia paktu trzech mocarstw — Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji dla obrony krajów, którym zagraża agresja hitlerowska. Rząd rosyjski nie chce ograniczyć się tylko do deklaracyj czysto werbalnych, ale podkreśla, że pakt ten musiałby być poparty: 1) umową trzech mocarstw o wzajemnej pomocy, 2) ścisłą konwencją wojskową, 3) udzieleniem gwarancji nie tylko Polsce i Rumunii, ale też wszystkim państwom leżącym między Bałtykiem a morzem Czarnym.

Rząd radziecki nie chciał polegać na ogólnikowych i niejasnych przyrzeczeniach, tym bardziej, że mógł mieć pewne zastrzeżenia co do szczerości propozycji Chamberlaina, który jeszcze 23 marca 1939 w odpowiedzi na interpelację w parlamencie oświadczył, że „rząd Wielkiej Brytanii nie zamierza tworzyć bloków z krajami, które posiadają specyficzny reżym wewnętrzny".

Rząd angielski był bezsprzecznie zaniepokojony napastniczą polityką niemiecką, która godziła w interesy brytyjskie. Nie chciał dopuścić do hegemonii Niemiec, pragnął przywrócenia równowagi sił w Europie, ale nie wyzbył się jeszcze iluzji, że polityka monachijska była słuszna. W Berlinie rozwijał działalność dyplomatyczną poseł angielski Henderson. Min. Halifax wyrażał gotowość załatwienia wszystkich spraw spornych między Niemcami i Wielką Brytanią drogą ugody, a wysłany na rokowania do Moskwy szef departamentu handlu zagranicznego Hudson prowadził również rokowania z pełnomocnikiem niemieckim Wohltatem i mówiono nawet, że państwa zachodnie zaproponowały Niemcom pożyczkę w wysokości 100 milionów funtów i wspólne eksploatowanie niektórych kolonii afrykańskich.

Wysłani do Moskwy delegaci dla rokowań z rządem radzieckim budzili również zastrzeżenia. Zarówno p. Hudson jak i p. Strang byli zaledwie szefami departamentów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Tak ważne rokowania prowadzą zwykle ministrowie, a nawet szefowie rządów. Ponadto obaj dyplomaci byli zwolennikami polityki monachijskiej. O rokowaniach p. Hudsona z Wohltatem już wspominaliśmy; p. Strangowi świadectwo wystawił dr. Haushofer, doradca polityczny Rudolfa Hessa; w memoriale wręczonym w 1941 r. Hitlerowi, Haushofer podając listę nazwisk polityków angielskich, z którymi można by wszcząć rozmowy na temat zawarcia pokoju, wymienia także Williama Stranga.

Po oświadczeniu Anglii, że gotowa jest udzielić Polsce gwarancji obrony jej niepodległości przed zamachami ze strony Rzeszy, min. Beck udaje się na początku kwietnia 1939 r.

*) Jeszcze 25 sierpnia 1939 r. w przeddzień wojny, w chwili największego napięcia stosunków między Polską a Niemcami Hitler drogą pośrednią przesyła komplementy dla Becka i wyrazy uznania dla jego polityki. W rozmowie z posłem francuskim w Berlinie p. Coulondrem Hitler mówi: „Wierzę, nawet jestem przekonany o umiarkowaniu takich ludzi, jak Beck, ale nie są oni już panami sytuacji".

do Londynu, aby osobiście podkreślić wagę prowadzonych przez oba rządy pertraktacyj.

Dnia 6. IV. 1939 r. wydano wspólny komunikat angielsko-polski, w którym stwierdzono, że „na życzenie rządu polskiego toczą się między Wielką Brytanią a Polską rokowania w celu zamiany jednostronnej tymczasowej gwarancji udzielonej przez Anglię Polsce na układ dwustronny, w którym obie strony biorą na siebie jednakowe zobowiązania“ („P. B. K.“, Komunikat polsko-angielski, str. 38).

Rząd niemiecki przez sekretarza stanu p. von Weizsaeckera zakomunikował amb. Lipskiemu, że „o ile pewne pogłoski na temat współpracy z Londynem miałyby się sprawdzić, będzie to niewątpliwie w sprzeczności z polsko-niemieckim układem z 1934 r.“. („P. B. K.“, Raport amb. Lipskiego do min. Becka z 6. IV. 39, str. 38).

28. IV. 1939 w odpowiedzi na apel prezydenta Roosevelta Hitler wygłasza przemówienie w Reichstagu, w którym zrywa pakt o nieagresji z Polską z roku 1934 i układ z Wielką Brytanią o ograniczeniu zbrojeń morskich z roku 1936. Uzasadniając ten krok przed Reichstagiem, Hitler przypomina, że przedłożył rządowi polskiemu następujące propozycje: 1) Gdańsk zostanie przyłączony do Rzeszy, 2) Niemcy otrzymają na Pomorzu eksterytorialną szosę i linię kolejową.

Rząd polski odrzucił te propozycje, godząc się jedynie na pertraktacje, jeśli chodzi o stanowisko Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku oraz o ułatwienia tranzytowe dla Rzeszy w „korytarzu“.

„Moim zdaniem — mówił Hitler — w razie takiego rozwiązania, Polska byłaby tą stroną, która jedynie bierze, a nie daje“. A dalej: „Zgoła wyimaginowane zamiary agresywne, jakie prasa światowa przypisuje Niemcom, doprowadziły wreszcie jakoby do gwarancji i do zobowiązań wzajemnej pomocy, które rząd polski przyjął. W pewnych okolicznościach, w razie konfliktu Niemiec z jakimkolwiek innym mocarstwem, które miałoby poparcie Anglii, zmusiłyby one Polskę do militarnego wystąpienia przeciwko Niemcom“.

W angielskiej gwarancji dla Polski i w angielsko-polskim pakcie o wzajemnej pomocy widzi Hitler jedno z ogniw odrzucanych stale przez niego paktów zbiorowych. „Albo istnieje zbiorowe bezpieczeństwo, to znaczy zbiorowa niepewność i stałe niebezpieczeństwo wojny, albo też jasne układy, wykluczające zasadniczo wszelką działalność zbrojną między kontrahentami“ — dodaje Hitler. I w konkluzji oświadcza, że układ zawarty swego czasu między nim a marsz. Piłsudskim „został jednostronnie przez Polskę pogwałcony, a więc przestał istnieć“.

W odpowiedzi na tę mowę Hitlera z dnia 5. V. 1939 przemawia w sejmie min. Beck, precyzując stanowisko rządu polskiego. Zaznacza on, że żądanie przez Rzeszę przeprowadzenia przez terytorium państwa polskiego stref eksterytorialnych jest podważeniem i zaprzeczeniem zasady niepodległości i niezależności państwowej, a tym samym jest niemożliwe do przyjęcia przez Polskę. Przyjęcie tego rodzaju warunku przekreśliłoby niezależny byt państwa. Polska ceni sobie pokój, ale utrzymanie pokoju kosztem niezależności i honoru jest dla Polski zbyt wielką ceną.

Niebezpieczeństwo wojny staje się coraz bliższe.

19 maja 1939 r. gen. Kasprzycki z upoważnienia marsz. Rydza-Śmigłego udaje się do Paryża w celu omówienia z członkami francuskiego sztabu generalnego sprawy koordynacji działań armii polskiej z francuską w razie wojny z Niemcami. Zawarto tajny układ sztabów generalnych podpisany przez gen. Gamelina i Kasprzyckiego, przewidujący w razie wojny z Niemcami natychmiastową ofensywę lotniczą na Zachodzie, a w 15 dniu wojny ofensywę na zachodniej granicy Rzeszy. („P. B. K.“, str. 91).

Wacław Zawadzki

ANTONI CZECHOW

przełożył **WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ**
rysował **ADAM MARCZYŃSKI**

Kucharka wychodzi za mąż

Grześ, mały, siedmioletni brzdąc, stał przy drzwiach kuchennych, podsłuchiwał i patrzył przez dziurkę od klucza. W kuchni, według jego mniemania, działo się coś niezwykłego, dotąd niewidzianego. Za stołem kuchennym, na którym zwykle rąbią mięso i kroją cebulę, siedział wielki, zwalisty chłop w dorożkarskim kaftanie, ryży, brodaty, z wielką kroplą potu na nosie. W prawej garści na pięciu palcach dzierżył spodeczek i popijał herbatę, a przy tym tak głośno gryzł kawałek cukru, że Grzesiowi dreszcz przebiegał po grzbiecie. Naprzeciw niego siedziała na brudnym taburecie stara niania Aksinia Stiepanowna, również pijąc herbatę. Oblicze niani było poważne a jednocześnie jaśniało jakimś tryumfem. Kucharka Pelagia krzątała się koło kuchni, a zachowywała się tak jak gdyby miała spalić się z wstydu. Grześ widział na jej twarzy całą gamę barw, od czerwono-purpurowej poczynając a na śmiertelnie bladej kończąc. Bez przerwy chwytała drżącymi rękami noże, widelce, drzewo, ścierki, krzątała się, mamrotała, stukała, lecz w rzeczywistości nic nie robiła. Na stół, przy którym popijali herbatę, nie spojrzała ani razu, a na pytania niani odpowiadała krótko, surowo, nie odwracając głowy.

— Pijcie, Daniło Semionyczu — zapraszała niania dorożkarza. — I cóż to pan wciąż herbatę i herbatę — wódeczki byś pan się napił.

I niania podsunęła gościowi butelczynę i kieliszek, przy czym twarz jej przybierała wyraz najbardziej podstępny.

— Nie używam... nie-e — odżegnywał się dorożkarz. — Nie przymuszajcie, Aksinia Stiepanowna.

— Cóż wy znów... Dorożkarz i nie pije... Kawalerowi nie wypada nie pić. Pijcie!...

Dorożkarz zerkał na wódkę, potem na złośliwe oblicze niani i twarz jego przybierała wyraz nie mniej podstępny: nie, choroba, nie złapiesz mnie, stara wiedźmo!

— Nie piję, wybaczcie... w naszym zawodzie nie wypada. Rzemieślnik może pić, bo siedzi na jednym miejscu, a my wciąż na oczach publiczności. Może nie tak? Pójdzie się do knajpy, a tu koń przepadł; napijesz się, to jeszcze gorzej: tylko patrzeć, jak człowiek zaśnie, albo zwali się z kozła, ot co!

— A ile wy dziennie zarabiacie, Daniło Semionyczu?

— Zależy jak kiedy. Jednego dnia uzbiera się i piątaka, a drugiego wraca się bez grosza do domu. Bywają dni rozmaite. Teraz wszystko razem do luftu! Dorożkarzy — zatrzęsienie, siano drogie, a pasażer goły, myśli tylko o tym, żeby się wtrynić do tramwaju. Ale Bogu dzięki, nie ma się na co skarżyć. Człowiek jest syty i ubrany i... może nawet kogoś drugiego uszczęśliwić... (dorożkarz zerknął na Pelagię)... jeżeli mu przypadnie do serca.

Grześ nie słyszał, o czym mówiono dalej. Do drzwi podeszła mama i posłała go do dziecinnego pokoju.

— Idź się uczyć. Nie twoja rzecz słuchać tego, co mówią starsi.

W pokoju dziecinnym Grześ rozłożył przed sobą „Słowo Rodzinne“, ale nie chciało mu się czytać. To, czego był świadkiem przed chwilą, wywołało w jego głowie zamęt. „Kucharka wychodzi za mąż... myślał. Dziwne. Nie rozumiem, po co? Mama wyszła za mąż za tatusia, kuzynka Wieroczka — za Pawła. No więc, za tatusia i Pawła, rozumiem, można wyjść za mąż: obaj mają złote dewizki, przyzwoite garnitury i wyczyszczone obuwie; ale wychodzić za mąż za strasznego dorożkarza z czerwonym nosem, w walonkach... fu! I dlaczego niania chce, żeby biedna Pelagia wyszła za mąż?“

Gdy gość opuścił kuchnię, Pelagia zjawiła się w pokoju i zajęła się sprzątaniem. Wzburzenie jeszcze ją nie odeszło. Twarz miała zaczerwienioną, spojrzenie jakby spłoszone. Ledwie dotykała szczotką podłogi i po pięć razy wymiatała każdy kąt. Długo nie wychodziła z pokoju, w którym siedziała mama. Najwidoczniej miała coś na sercu i chciała to wypowiedzieć, podzielić się z kimkolwiek swymi wrażeniami, zwierzyć się ze swych uczuć.

— Poszedł — mruknęła, widząc, że mama nie zaczyna rozmowy.

— Uważam, że to porządny człowiek — powiedziała mama, nie odrywając oczu od haftu. — Trzeźwy, stateczny.

— O Boże, proszę pani, nie wydam się za niego — krzyknęła nagle Pelagia zapłoniona. — Za nic w świecie!

— Nie pleć, nie jesteś dzieckiem. To krok bardzo poważny, trzeba się dobrze namyśleć, a nie ma czego krzyczeć. Podoba ci się?

— Co też pani mówi! — zawstydziła się Pelagia. — Takie coś pani wymyśli, że... jak babcię kocham...

„Lepiej by powiedziała, że jej się nie podoba“ — pomyślał Grześ.

— Nie udawaj... Podoba się?

— Kiedy on stary, proszę pani! Chi, chi!

— Też coś! — oburzyła się na Pelagię niania z drugiego pokoju. — Czterdziestu lat jeszcze nie ma! I po co ci młody, głupia? Urodą chleba nie okrasisz! Idź za mąż i koniec!

— O, Boże, nie pójdę! — pisnęła Pelagia.

— Nie wygłupiaj się! Jakiego byś chciała? Inna by się wydała za mąż z pocałowaniem ręki, a ty — „nie wyjdę“! Tobie by się chciało romansować z listonoszami albo profesorami. Ona, proszę pani, oczu nie spuszcza z tego korepetytora, co przychodzi do Grzesia. Bezwstydnica!

— Tyś go już widywała, tego Daniłę? — spytała pani Pelagię.

— A gdzieżbym go widywała? Pierwszy raz go dziś widziałam. Aksinia go skądciś przyprowadziła! Niech sobie idzie do diabła!... Skąd on się tu wziął na moje nieszczęście.

Przy obiedzie biesiadnicy zaglądali w twarz Pelagii obnoszącej dania i dokuczali jej dorożkarzem. Pelagia czerwieniła się straszliwie i chichotała wymuszenie.

„To zawstydzające, ale ona prawdopodobnie wyjdzie za mąż — myślał Grześ. — Okropnie zawstydzające!“

Wszystkie dania były przesolone, z niedopieczonych kurcząt sączyła się krew, a na domiar z rąk Pelagii, jak z przechylającej się półki, leciały w czasie obiadu talerze i noże. Nikt jednak nie robił jej wyrzutów, bowiem wszyscy rozumieli stan jej duszy. Raz tylko tatuś odrzucił z irytacją serwetkę i rzekł do mamy: — Co cię to obchodzi, żeby wszystkich swatać. Jeśli chcą, niech się pobiorą sami.

Po obiedzie do kuchni zaczęły się schodzić z wizytą kucharki i pokojówki z sąsiedztwa i do samego wieczora słychać było szepty rozmów. Skąd one się dowiedziały o swatach — Bóg wie! Przebudziwszy się o północy Grześ słyszał, jak w jego dziecinnym pokoju za firanką szeptały niania i kucharka. Niania przekonywała o czymś, a kucharka, to wzdychała, to szlochała. Zasnąwszy na nowo Grześ ujrzał we śnie wielkoluda i babę Jagę porywających Pelagię.

Nazajutrz uspokoiło się trochę. Życie w kuchni poszło swoim trybem, zupełnie jakby dorożkarza nie było na świecie. Niania tylko od czasu do czasu narzucała na siebie nowy szal, przybierała srogi a zwycięski wyraz twarzy i wychodziła gdzieś na godzinę, dwie, widocznie dla przeprowadzenia rozmów.

Pelagia nie widziała się z dorożkarzem, a gdy jej o nim wspomniano, wybuchała gniewem i krzyczała: — A niech go licho! Nie chcę o nim myśleć! Tfu!

Jednakże wieczorem do kuchni, gdzie Pelagia i niania coś tam gorliwie kroiły, weszła mama i powiedziała: — Wyjść za mąż, naturalnie, możesz, to twoja sprawa, ale wiedz, Pelagia, że on tu mieszkać nie może... Ty wiesz, że ja nie lubię, jeśli ktoś przesiaduje w kuchni. Zapamiętaj to sobie... I na noc nie będę cię wypuszczać.

— Iiii... wymyśla pani Bóg wie co! — pisnęła kucharka. — Czemu mi pani nim dokucza! A niech go licho porwie! Zawraca mi tylko głowę. Żeby go...

Zajrzawszy pewnego niedzielnego poranka do kuchni, Grześ zamarł ze zdziwienia. W kuchni było pełno ludzi. Kucharki z całej kamienicy, stróż, dwóch stójkowych, podoficer z naszywkami i mały Filipek. Ów Filipek zwykle kręcił się koło pralni i bawił się z psami. Teraz był uczesany, umyty i dzierżył ikonę w przybraniu. Na środku kuchni stała Pelagia w nowej perkalikowej sukni i z kwiatkiem we włosach. Przy niej stał dorożkarz. Oboje młodzi byli zaczerwienieni, pocili się i bezustannie mrugali powiekami.

— No, zdaje się, że to już czas — zaczął podoficer po długim milczeniu.

Pelagia spochmurniała i zaczęła ryczeć... Podoficer wziął ze stołu bochen chleba, stanął przy niani i począł błogosławić. Dorożkarz podszedł do podoficera, pokłonił się nisko i cmoknął go w rękę. To samo uczynił wobec Aksinii. Pelagia automatycznie postępowała za nim i także biła pokłony. W końcu otworzyły się drzwi zewnętrzne, do kuchni wionął biały tuman i całe towarzystwo wyruszyło z hałasem z kuchni na dwór.

— Biedna, biedna — myślał Grześ przysłuchując się płaczącej kucharce. — Dokąd ją zaprowadzili? Dlaczego tatuś i mama nie staną w jej obronie?

Po ślubie do samego wieczora w pralni śpiewano i grano na harmonii.

Mama irytowała się, że od niani zalatuje wódką i że przez te wszystkie wesela nie ma komu nastawić samowaru.

Gdy Grześ kładł się spać, Pelagia jeszcze nie wróciła.

— Biedna, płacze teraz gdzieś tam pewnie w kącie, a dorożkarz się z niej wyśmiewa.

Nazajutrz z rana kucharka była już w kuchni. Dorożkarz zaszedł na chwilę, podziękował mamie i spojrzawszy surowo na Pelagię, rzekł: — Pani szanowna niech na nią uważa. Niech pani jej zastąpi rodziców. I pani też, Aksinio Stiepanowna, niech pani jej nie zostawia samej, niech pani uważa, żeby wszystko było honorowo... bez kawałów... A także, pani szanowna, poproszę pięć rubelków na rachunek jej pensji. Chomąto muszę kupić nowe.

Nowy problemat dla Grzesia: żyła sobie Pelagia, wolna jak ptak, przed nikim się nie potrzebowała wyliczać z zarobków i naraz, ni stąd ni zowąd, zjawia się jakiś obcy człowiek, który rości sobie prawo do jej własności i sposobu życia. Grzesiowi zrobiło się przykro. Zapragnął dziwnie, do łez pocieszyć tę ofiarę, jak mniemał, ludzkiej przemocy.

Wybrał więc ze spiżarni największe jabłko, przekradł się do kuchni, wsunął Pelagii jabłko do ręki i rzucił się pędem z powrotem do pokoju.

Antoni Czechow

STEFAN PAPÉE

Katowice organizują życie naukowe na Śląsku

Zjawiłem się w Katowicach na zaproszenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk właśnie w tygodniu, w którym robiono przygotowania do wyjazdu na Dni Kultury do Wrocławia. Otwarcie Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej przyjmowano w Katowicach z uczuciem zadowolenia i radości, nie ukrywano jednak przede mną odrobiny smutku, że ukochanemu miastu nie jest dane przeżywać podobnej uroczystości. Katowice od wielu bowiem lat mają ambicje zorganizowania u siebie uniwersytetu, który by obsłużył wielki okręg miejski, dziś już z tak gęsto zaludnionymi miastami jak Chorzów, Bytom, Zabrze, Gliwice. „Memoriał w sprawie założenia Uniwersytetu w województwie śląsko-dąbrowskim" wręczony Ministrowi Oświaty 2. VI. 1945 r. w Katowicach przez przewodniczącego Obywatelskiego Komitetu Przygotowawczego Uniwersytetu Śląskiego dr. Józefa Lisaka, później ogłoszony drukiem, poucza, że zebrano wiele poważnych argumentów, przemawiających za Katowicami jako za siedzibą przewidywanego wówczas uniwersytetu. Tymczasem powstał Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu, zorganizowano drugą Politechnikę w Gliwicach, tylko Katowice doznały zawodu.

Dr Lisak nie traci jednak nadziei, że i Katowice doczekają się uniwersytetu, a przewidywania swe opiera na obserwacji rozwoju dwóch szkół katowickich o charakterze wyższych uczelni.

WYŻSZE STUDIUM NAUK SPOŁECZNO-GOSPODARCZYCH

Powstało jeszcze w 1936 r., głównie dzięki zabiegom swego pierwszego dyrektora dr. Lisaka, wykładającego ekonomikę jednostek gospodarczych, autora podstawowego podręcznika pt. „Ekonomia jednostkowa. Nauka o przedsiębiorstwie", który ukazał się właśnie w drugim wydaniu, nakładem Wyższego Studium.

Dr Lisak wyjaśnia, że Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych dzieli się na dwa wydziały. Dziekanem Wydziału Administracji Publicznej jest prof. Aleksander Jackowski, dziekanem Wydziału Organizacji Przemysłowej inż. Zygmunt Rytel. Wykłada nadto 23 profesorów-specjalistów. Wydział Oganizacji Przemysłowej jest jedyną tego rodzaju uczelnią w Polsce. Ośrodkiem studiów jest wielkie przedsiębiorstwo przemysłowe. Wydział kształci pracowników administracji przemysłowej w zakresie organizacji pracy i kierowania. Wydział Administracji Publicznej przygotowuje pracowników administracji państwowej ogólnej i skarbowej, oraz pracowników samorządowych. Studium trwa 3 lata. W tym roku uczelnia liczy 657 słuchaczy, w tej liczbie jest 149 słuchaczek. Według zawodu rodziców 242 to synowie robotników, 75 rolników. Zawód słuchaczy wskazuje, że 176 pracuje równocześnie w przemyśle, a 165 w administracji państwowej.

Dyrektor Lisak liczy się z wielkim napływem słuchaczy z nowym rokiem szkolnym. Wtedy liczba słuchaczy przekroczy 2000. Wyższe Studium ma niebawem otrzymać dwa obszerne gmachy miejskie w Bogucicach, co umożliwi na koniec należyte zorganizowanie pracowni i pozwoli uczelni rozwinąć szerszą działalność. Wyższe Studium, utrzymujące już przyjazne stosunki z Politechniką w Gliwicach, wymieniające z Politechniką niektórych profesorów, liczy wtedy przede wszystkim na pomoc Krakowa, 3-krotnie bliższego niż Wrocław. Na pomocy Krakowa buduje też swą przyszłość, aż do czasów usamodzielnienia się uniwersyteckiego Katowic, druga wyższa uczelnia Instytut Pedagogiczny.

INSTYTUT PEDAGOGICZNY W KATOWICACH

Instytut Pedagogiczny zrodziła potrzeba dokształcania i pogłębiania wykształcenia ogólnego i zawodowego nauczycielstwa śląskiego jeszcze w 1928 r. Organizacja i kierownictwo Instytutu było zasługą obecnego naczelnika wydziału kształcenia nauczycieli w Ministerstwie Oświaty Edwarda Czernichowskiego. Po wojnie wznowiono prace organizacyjne 8. III. 1945 r. Na czele Instytutu stanął dr Józef Pieter, docent Uniwersytetu Poznańskiego.

Dr Pieter wspomina z żalem straty, jakie Instytut poniósł skutkiem wojny. Niemcy zamęczyli w obozach koncentracyjnych z wykładających w Instytucie profesorów Ormickiego, Metallmana i Rowida, dr. Goryńskiego i dr. Witowskiego, oraz kilkunastu absolwentów. Ze zbiorów naukowych Instytutu wszystko przepadło. Z 11 000 tomów biblioteki zdołano odnaleźć około 3000. Obecnie biblioteka Instytutu liczy już 25 000 tomów, częściowo są to książki z dawnego Wydziału Oświecenia, częściowo przejęte z niemieckiej akademii pedagogicznej w Bytomiu. Przeważają książki niemieckie, potem dopiero idą w języku polskim, angielskim i francuskim. Od września 1945 obowiązuje Instytut nowy statut, na mocy którego każdy ze słuchaczy Instytutu obowiązany jest do studiowania 2 działów Instytutu, z reguły pedagogicznego i jednego z 3 dalszych: humanistycznego, przyrodniczego lub matematyczno-fizycznego. Wykładają głównie profesorowie i docenci Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nad działem pedagogicznym czuwa zwłaszcza prof. Stefan Szuman, nad humanistycznym prof. Stanisław Pigoń, nad przyrodniczym prof. Stanisław Skowron, nad matematyczno-fizycznym prof. Ważewski. Staraniem Instytutu ukazuje się czasopismo pedagogiczne „Chowanna". Przystąpiono też do wydawania „Biblioteki Nauczyciela". Dotychczas ukazały się pierwsze 4 tomy, a mianowicie: „Elementy nauk pedagogicznych" (praca zbiorowa), J. Zborowski „Nauczanie elementarne", J. Pieter „System pedagogiczny Johna Deweya" i J. Madeja „Dzieje elementarzy". W przygotowaniu drugie wydanie „Elementów" i praca zbiorowa, pod redakcją prof. Skowrona, pt. „Dzieje życia". „Mała encyklopedia" pedagogiczna jest w opracowaniu. Przy Instytucie działa „Poradnictwo zawodowe", kierowane przez dr. Szewczuka i Golonkę oraz magistra Janocha. W porozumieniu z Instytutem Higieny „Poradnictwo" przeprowadza selekcję dzieci upośledzonych, selekcję młodzieży do szkół średnich i zawodowych, roztacza też opiekę nad dziećmi trudnymi. Sekcja pedagogiczna Związku Absolwentów Instytutu pod kierunkiem prof. Szumana prowadzi systematyczne badania nad rozwojem psychicznym dzieci. W nowym roku w łączności z Instytutem będzie działać Wyższa Szkoła Pedagogiczna.

ŚLĄSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Z kolei udałem się do śląskiego Domu Kultury na ulicę Francuską 12, aby od dr. Pawła Rybickiego, dyrektora Śląskiej Biblioteki Publicznej, dowiedzieć się o losach instytucji, założonej w 1923 r. jako Biblioteka Sejmu Śląskiego, która dzięki życzliwej opiece ówczesnego marszałka Sejmu Konstantego Wolnego szybko się rozwijała i w 1936 r. przekształciła się w Zakład Naukowy Śląskiej Biblioteki Publicznej. Była to biblioteka ogólnonaukowa całego polskiego Śląska, która w szczególny sposób kultywowała nauki prawnicze, ekonomiczne, społeczne, techniczno-górniczo-hutnicze i podstawowe gałęzie humanistyki, gromadząc równocześnie starannie wszelkie „silesiana". Zbiór osiągnął przed wojną tomów 100 000. Wojna silnie odbiła się na losach biblioteki. Zbiory z grubsza ocalały, jednak powstały luki i to głównie pod względem jakościowym, co wywołane było ewakuacją zbiorów przez Niemców w 1944 r. Są znaczniejsze braki w silesianach, są w przykry sposób zdekompletowane encyklopedie, bibliografie (które były mocną stroną naszej biblioteki). W stosunku do okresu przedwojennego straty w zbiorach ilościowo wynoszą około 10 procent. Biblioteka Śląska dokonała w ramach akcji zabezpieczania księgozbiorów zabezpieczenia całej biblioteki naukowej w Bytomiu, mającej podobny, choć skromniejszy zakres, oraz szeregu mniejszych zbiorów naukowych polskich, bądź niemieckich. Biblioteka bytomska, razem z innymi zabezpieczonymi zbiorami dają razem około 150 000 tomów.

Sytuacja samej Biblioteki Śląskiej przez dłuższy czas była niewyjaśniona. Jako biblioteka zniesionego samorządu śląskiego była ona przez przeciąg przeszło roku bez opieki prawnej, bo nie ustanowiono nawet likwidatora, dopiero od stycznia 1946 r. zyskała pomoc Ministerstwa Oświaty. Warunki pracy są nadal ciężkie. Biblioteka straciła część lokalu. Wypożyczanie książek musiano więc ograniczyć tylko do instytucji i osób pracujących naukowo. Z wypożyczalni, otwartej od 9 rano do 8 wieczór bez przerwy, mającej niestety tylko 25 miejsc, korzystają wykładowcy Wyższego Studium i Instytutu Pedagogicznego, słuchacze tych uczelni, nauczyciele, starsza młodzież szkół średnich oraz badacze naukowi.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU

Dr Paweł Rybicki pełni równocześnie obowiązki generalnego sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, które w listopadzie 1945 r. wznowiło swą działalność pod nową nazwą Śląsko-Dąbrowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Dzięki jego uprzejmości otrzymałem następujące informacje o dotychczasowych poczynaniach Towarzystwa. Działalność wznowiono w styczniu 1946 r. Z zarządu Towarzystwa ubyli: ksiądz dr Emil Szramek, prezes Towarzystwa, proboszcz kościoła P. Marii, zamęczony w Mauthausen; mgr Teodor Glensk, dyr. biura Sejmu Śląskiego i red. Jan Przybyła, obydwaj zmarli w obozach niemieckich. Na czele Towarzystwa stoi obecnie dr Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego. Między Towarzystwem Przyjaciół Nauk a Instytutem przeprowadzono podział pracy. Towarzystwo ma obejmować szerszy zakres życia naukowego i badań naukowych na Śląsku, nie ograniczając się tylko do śląskiego regionu, ma równocześnie utrzymywać kontakt z życiem naukowym innych środowisk.

Pierwsze posiedzenie publiczne Towarzystwa odbyło się 28. I. 1946 r. pod hasłem „Życie naukowe i kultura Śląska w r. 1945", z referatami dr. R. Lutmana o nauce, dr. J. Pietra o problemach wyższego szkolnictwa, mgr. Fr. Szymiczka o bibliotekach, archiwach i muzeach na Śląsku, mgr. J. Lewańskiego o ruchu literackim i wydawniczym, rektora F. Kulczyckiego o życiu muzycznym, dr. J. Kollera o sztukach plastycznych i teatrze, zakończonymi uwagami dr. P. Rybickiego o perspektywach rozwojowych. Dnia 19. II. odbyła się akademia żałobna ku czci prezesa Towarzystwa księdza dr. E. Szramka, z przemówieniami dr. R. Lutmana o księdzu Szramku, jako prezesie Towarzystwa, ks. dr. H. Bednorza o ks. Szramku jako człowieku, działaczu i pisarzu i dyr. P. Rybickiego o poglądach socjologicznych zmarłego. Trzecie publiczne posiedzenie Towarzystwa w setną rocznicę urodzin Henryka Sienkiewicza (6. VI.) zagaił dyr. J. Lisak, a referat pt. „Walka Sienkiewicza o Ziemie Zachodnie" wygłosił dr Stefan Papée. Wszystkie te publiczne posiedzenia cieszyły się wielką frekwencją słuchaczy. Towarzystwo przystąpiło też do zorganizowania cyklu wykładów o zagadnieniach cywilizacji z rozmaitych punktów widzenia. Dotychczas mówił prof. dr Wł. Tatarkiewicz o dążeniach do szczęścia i podstawach kultury (6. V.), oraz prof. dr B. Suchodolski o człowieku i dziejach (29. V.), prof. dr J. Czekanowski o początkach świata słowiańskiego (21. VI).

Wewnętrzna praca naukowa odbywa się w komisjach. Np. w komisji filozoficznej na 2 zebraniach omawiano pracę dr. J. Pietra pt. „Kryteria twórczości oryginalnej". W planie jest wznowienie wydawnictw prac członków Towarzystwa i Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk, których dotychczas pojawiło się sześć.

INSTYTUT ŚLĄSKI

Prace organizacyjne podjął już w lutym 45 r. dyrektor Instytutu Śląskiego dr Roman Lutman. Początek był badzo trudny. Zbiory były rozproszone, tylko ich część odnaleziono w Bytomiu, Cieszynie i pod Nysą. Z dawnej biblioteki ocalało niespełna 40%. Wydawnictwa częściowo odszukano. Gmach Instytutu zajął Powiatowy Urząd Zdrowia. Nową siedzibę otrzymano przy ulicy Warszawskiej 37. Otwarcie Instytutu odbyło się 16. VI. 1945 r.

Dr Antoni Wrzosek, zastępujący nieobecnego dyrektora, udziela wyczerpujących informacyj.

Prace wewnętrzne Instytutu odbywają się w komisjach, które 2 razy w miesiącu mają swe posiedzenia. Na czele komisji historycznej stoją dyr. Lutman i dr K. Popiołek, prawniczej dr Z. Izdebski, literackiej mgr. J. Lewański, socjologicznej dr P. Rybicki, fizjograficznej dr A. Wrzosek, ekonomicznej (dotychczas najliczniejszej) dr H. Sukiennicki, etnograficznej mgr M. Suboczowa, bibliograficznej dr Ambros. Dział wydawniczy w Instytucie prowadzi dr Popiołek, prawny dr Izdebski, kartograficzny mgr Suboczowa, biblioteką kieruje dr M. Lutmanowa.

Już w 1945 r. wydał Instytut Śląski najpotrzebniejsze pomoce. Naprzód mapę fizyczno-administracyjną Śląska (według stanu z r. 1939), w opracowaniu Józefa Szaflarskiego i Antoniego Wrzoska, potem „Skorowidz gmin Śląska Dolnego i Opolskiego z niemieckimi i polskimi nazwami miejscowości według stanu z dnia 1 stycznia 1941 r.", wreszcie opis geograficzno-gospodarczy nowych ziem śląskich z 3 mapami pt. „Nad Odrą i Nysą", pióra A. Wrzoska.

Rozpoczęto też nową serię wydawnictw pt. „Współcześni pisarze Śląska", wydając jako pierwsze jej tomy Edmunda Osmańczyka „Walka jest zwycięska" i Wilhelma Szewczyka „Posągi".

Wznowiono też zasłużone „Zaranie Śląskie", za rok 1945 ogłaszając jeden zwiększony zeszyt kwartalnika.

Od stycznia 1946 r. pojawiają się regularnie komunikaty Instytutu Śląskiego (seria V), podając co miesiąc Śląski Kalendarz Historyczny, bodaj pierwszą tego rodzaju polską próbę ujęcia przeszłości Śląska, wymieniający na każdy prawie dzień miesiąca jakiś ważny fakt z historii politycznej czy kulturalnej Śląska. Komunikaty przyniosły również wspomnienie o ks. pastorze Fr. Michejdzie, pióra dr. K Popiołka, wiadomości o węglu brunatnym na Śląsku (dr A. Wrzosek), o weryfikacji Polaków na Dolnym Śląsku (St. G.), ustalenie nazw miejscowości na ziemiach odzyskanych i przegląd rezerwatów przyrody na terenie odzyskanych ziem Śląska Opolskiego i Dolnego (dr Fr. Ludera).

Nowa seria wydawnictw pt. „Biblioteka Słowiańska" przyniosła dotychczas dwie prace prof. Józefa Widajewicza: „Słowianie Zachodni a Niemcy w wiekach średnich" i „Weleci".

Seria II ogólnie znanego sprzed wojny cyklu „Polski Śląsk" ogłosiła tomik Zygmunta Izdebskiego „Rzeka Odra. Zagadnienie prawa narodów" i prof. Karola Maleczyńskiego „Wojna polsko-niemiecka 1109 r."

„Pamiętnik Instytutu Śląskiego", którego tom pierwszy z 1936 r. „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku" wciąż jest programem Instytutu, przyniósł obecnie pracę dr. Kazimierza Popiołka „Trzecie śląskie powstanie", odznaczoną pierwszą nagrodą na konkursie, ogłoszonym przez Komitet Budowy Pomnika Czynu Powstańczego dla uczczenia 25-lecia trzeciego powstania śląskiego. W druku znajduje się rozprawa prof. Józefa Feldmana „Problem polsko-niemiecki w dziejach".

Na koniec w serii „Zagadnienia gospodarcze Śląska" ukazała się praca Mariana Kamieńskiego „Skały użyteczne Dolnego i Górnego Śląska".

O dalszych pracach wydawniczych Instytutu Śląskiego mówi dr Wrzosek z wielkim ożywieniem. „Za bardzo pilne uznaliśmy wydanie „Historii Śląska" w popularnym ujęciu, które opracował dla Instytutu prof. K. Piwarski. Wspólnie z Instytutem Zachodnim wydamy niebawem obszerne naukowe „Dzieje średniowiecznego Śląska" dyr. Zdzisława Kaczmarczyka i „Dzieje nowożytnego Śląska" prof. K. Piwarskiego. W druku jest tom pierwszy „Dziejów piśmiennictwa śląskiego" Wincentego Ogrodzińskiego i „Sztuka na Śląsku" prof. Tadeusza Dobrowolskiego, dla której poszukujemy odpowiedniego papieru dla reprodukcyj licznych ilustracyj. W niedalekiej przyszłości ukażą się też Ewy Maleczyńskiej „Polskie tradycje Wrocławia" i Karola Maleczyńskiego „Historia Wrocławia"; profesor Karol Maleczyński stanął też na czele wrocławskiego oddziału Instytutu Śląskiego zorganizowanego w kwietniu br. w 5-piętrowym budynku przy Placu Uniwersyteckim 7. Oddział pracuje w porozumieniu z wrocławskim Uniwersytetem i Politechniką".

Instytut Śląski zorganizował kurs oświatowy dla pracowników oświatowych w Bytomiu, zasilał prelegentami krakowskie kursy wiedzy o Ziemiach Zachodnich, bierze udział w Radzie Naukowej dla zagadnień Ziem Odzyskanych, powołał komisję regionalną dla ustalenia nazw miejscowych z prof. W. Taszyckim na czele, obecnie zaś uruchamia sieć korespondentów terenowych, dla rozpowszechnienia prac Instytutu. Zdaniem dr. Wrzoska ruch naukowy na Śląsku rośnie i można patrzeć z wiarą w rozwój życia naukowego w Katowicach.

PERSPEKTYWY ROZWOJOWE

Kiedy w latach 1935—37, sam pracując na Śląsku, miałem sposobność bliżej obserwować życie naukowe i literackie Katowic, wyczuwałem, że Katowicom brak było szerszego oddechu i że ich możliwości rozwojowe skrępowane były szczupłością terenu. Katowice były wtedy przedmieściem Krakowa. Dziś zależność naukowa od Krakowa nadal wprawdzie istnieje, ale zaczynają już promieniować nowe uniwersyteckie ośrodki z Gliwic i Wrocławia. Kiedyś zapewne i uniwersyteckie ambicje samych Katowic, widzących słusznie w pracach swych instytucyj kolebkę przyszłego uniwersytetu, zostaną zaspokojone. Tymczasem naukowe poczynania wojewódzkiego miasta, stolicy tak gęsto zaludnionego ośrodka przemysłowego zasługują na baczną obserwację i życzliwą pomoc Krakowa, do którego nadal, w myśl odwiecznych kulturalnych tradycyj, lgną serca Ślązaków.

Stefan Papée

Wobec ogromnego napływu zgłoszeń w ostatnich dniach maja
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »KSIĄŻKA«
w porozumieniu z firmą Gebethner i Wolff
przedłużyła subskrypcję
Prus — Lalka . . . . . 3 tomy 250·— zł
Prus — Faraon . . . 3 tomy 250·— zł
Reymont — Chłopi . . . 4 tomy 340·— zł
Balzac — Stracone złudzenia 5 t. 560·— zł
do dnia 30 czerwca 1946 r.
235
Bliższych informacji udzielają i zgłoszenia przyjmują wszystkie księgarnie

TADEUSZ DOBROWOLSKI

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

Otwarty w warszawskim Muzeum Narodowym Ogólnopolski Salon Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków skupił dzieła 27 rzeźbiarzy i z górą 220 malarzy oraz grafików. Wolno więc go uznać za reprezentację polskiej sztuki plastycznej, a wnioski z tego pokazu płynące odnieść do współczesnej sztuki polskiej w całej rozciągłości tych słów. Zapewne wolno się także domyślić, że wystawa posiada luki, że na jej podstawie nie można wydać sądu o plastyce polskiej, ale można wyrobić sobie przynajmniej pogląd na tę plastykę, zbliżony do prawdy w granicach, w jakich sformułowanie tej prawdy jest w ogóle możliwe.

Niestety w recenzji, której objętość musi być ograniczona, nie da się omówić wszystkich dzieł wystawionych, a mianowicie wymienionych w katalogu wystawy 51 rzeźb oraz 391 obrazów i prac graficznych. Pedantyczne postępowanie badawcze wymagałoby zapewne poprzedzenia wniosków ogólnych analizą wszystkich eksponatów, ale w tym przypadku chodzi tylko o recenzję, która z natury rzeczy musi poprzestać na selekcji materiału, dokonanej jak gdyby pod pierwszym wrażeniem, ponieważ podpisany sprawozdawca dysponował zaledwie pięciogodzinnym czasem, w ciągu którego musiał obejrzeć 442 dzieła rzeźby i malarstwa. W praktyce zatem zatrzymywał się dłużej przed tymi pracami, które wywarły na nim silniejsze wrażenie od innych. Jego sytuację ułatwiał jednak fakt, że takich prac było stosunkowo niewiele. Być może, że powtórne zwiedzenie wystawy pozwoliłoby na skontrolowanie i ewentualną korektę niejednej obserwacji i niejednego sądu. Ponieważ jednak nie było to możliwe, podaje się poniższe sformułowania w kształcie niejako doraźnym, rzecz oczywista z zastrzeżeniem, usprawiedliwionym przez opisany splot okoliczności.

W miarę możności będzie się stosowało w recenzji pewną, prostą zresztą, metodę typu indukcyjnego, bo punktem wyjścia staną się opisy poszczególnych, jednakże tylko wybranych dzieł sztuki, które z kolei dostarczą podstawy do wniosków ogólnych. Prace wystawców omówi się przy tym w alfabetycznej kolejności nazwisk zgodnie z układem katalogu wystawy.

Na warszawskiej wystawie wiosennej zwraca uwagę znaczna ilość dzieł rzeźby, czego np. nie było na dotychczasowych wystawach krakowskich. Większość wystawiających rzeźbiarzy zamieszkuje Warszawę. Spoza Warszawy nadesłano prace rzeźbiarskie z Krakowa, Poznania, Torunia, Zakopanego i Katowic.

Alfons Karny, który obok Strynkiewicza i Masiaka wystawił najwięcej rzeźb, zwracających przy tym uwagę dużymi wymiarami, mieszka w Zakopanem. Wykonane przez niego w granicie lub brązie nadnaturalnej wielkości głowy Solskiego, Paderewskiego, Kaden-Bandrowskiego i inne dowodzą, że w intencji artysty leży realizacja formy monumentalnej. Ale pamiętać należy, że monumentalność jest nie tylko funkcją wymiarów i materiału, albowiem niekiedy drobna figura może sprawiać bardziej monumentalne wrażenie niż duża. Wyraz monumentalności w rzeźbach Karnego przekreśla nadmiar szczegółów realistycznych, niedostatecznie podporządkowanych całości.

Niewątpliwe wartości zdobnicze cechują wykonaną przez **Wacława Kowalika** (Warszawa) rzeźbę drewnianego niedźwiedzia, która swym geometrycznym uproszczeniem i zwartością formy, wpisanej w przestrzeń idealnego graniastosłupa, sugeruje pewną łączność z praktykami zakopiańskiej Szkoły Przemysłu Drzewnego. Kobieca głowa **Stanisława Marcinowa** (Katowice) odznacza się prostotą i wdziękiem.

Jako rasowy rzeźbiarz prezentuje się **Franciszek Masiak** (Warszawa), autor religijnych figur brązowych oraz granitowej głowy, w której udało mu się osiągnąć istotny efekt monumentalności. Płasko modelowana maska starszej kobiety o trafnie ustalonych planach (pod którymi rozumie się stosunek wypukłości do wgłębień) wiąże się organicznie z potężną bryłą granitu nie osłabiając jej przyrodzonej, twardej i masywnej konsystencji. Głowa ta przywodzi na myśl rzeźbę egipską w sensie opanowania materii, nie stylu. Jej widoczny realizm, a więc jej przedmiotowa prawda mieści się dobrze w ramach rzeźbiarskiej konstrukcji. Wadą tej rzeźby są może tylko pewne zbyt ostre, z daleka zresztą niewidoczne żłobienia.

Stanisław Rzecki wystawił głowę młodej kobiety, znaną z krakowskiego Salonu Jesiennego. Poważnym rzeźbiarzem jest także **Franciszek Strynkiewicz** (Warszawa), twórca posągu Chrystusa w granicie, dwóch brązów, gipsowego torsu kobiecego i marmurowej kompozycji, która łączy w sposób niezupełnie logiczny, impresjonistyczny i surowy złom marmuru o chropawej powierzchni, z wypolerowanym kształtem nagiej kobiety, klasycystycznie uproszczonej jak gdyby pod wrażeniem Maillola. Dyskretna skromność cechuje niewielką, w brązie odlaną głowę kobiecą **Zofii Szczęsnowicz** (Kraków). Zamkniętą, mocno sformułowaną bryłę tworzy dobrze zbudowana brązowa „Głowa" **Bazylego Woytowicza** (Poznań), o rysach modelowanych z wielką wrażliwością plastyczną i umiarem, potwierdzającym tak ważny w rzeźbie czynnik przestrzennej masy. W tym przypadku zachodzi pewna zbieżność między Woytowiczem a Masiakiem. Katalog wymienia jeszcze nazwiska **Jana Szczepkowskiego, Romualda Zerycha, Anny Wallek-Walewskiej** i innych, w związku z czym eksponaty Salonu Wiosennego informują dość dobrze o stanie rzeźby w Polsce. Odczuwa się jednak brak utworów kilku wybitniejszych rzeźbiarzy, zamieszkałych w kraju, zwłaszcza Dunikowskiego i Wnuka. Zamoyski, jak wiadomo, przebywa bowiem w południowej Ameryce.

JAN CYBIS — Portret

KONSTANTY MACKIEWICZ — Fejzaż

HANNA RUDZKA — Portret skrzypka

Niemniej zebrany na wystawie dość obfity materiał upoważnia do pewnych wniosków ogólnych. Pozwala stwierdzić, że na ogół plastycy polscy orientują się nieźle w sprawach, warunkujących sensową i specyficzną budowę rzeźby, która jako twór przestrzenny, bryłowaty, wykonany na ogół z ciężkiego materiału, musi odpowiadać prawidłom statyki, wewnętrznej zwartości i wzajemnej równowagi mas, co powinny akcentować także wyglądy utworów. Rzeźba polska, jako sztuka wyraźnie przedstawiająca, liczy się ze światem fizycznym i kryje w sobie dość silny ładunek realizmu. Jest raczej prosta i jasna. Stopień formalnego opanowania bytów naturalnych nie zawsze jednak zadowala. Przekształcenie rzeczywistości przyrodniczej w artystyczną nie zawsze się wydaje spełnieniem tej miary, żeby utwór rzeźbiarski można było uznać za jednolite i harmonijne dzieło sztuki. Elementy realistyczne nie zawsze przemieniają się w nowe jakości, powiązane w obrębie dzieła w ten sposób, żeby związki te wydawały się czymś niewzruszalnym i koniecznym. Ale przypomnieć trzeba, że ideał równowagi między kategoriami przedmiotowymi a czysto formalnymi urzeczywistnia się w ogóle dość rzadko, warunkowany wielkością talentu i głębią kultury plastycznej. Pamiętając o tym, po rozważeniu dodatnich i ujemnych stron naszej rzeźby, można ją oceniać pozytywnie i wierzyć w jej przyszłość.

Również malarstwo polskie, a raczej pewien duży odłam tego malarstwa, prezentuje się wcale jednolicie. Od razu wyjaśnimy, że mamy na myśli ten zespół malarzy, który uprawia kult koloru i posiada zrozumienie dla „czystej" malarskości. Cudzysłów tłumaczy się faktem, że chodzi tu na szczęście wciąż jeszcze o malarstwo przedstawiające, afirmujące w rozmaitym stopniu przedmioty w odróżnieniu np. od równocześnie wystawionych w gmachu Muzeum rysunków francuskich, które przeważnie należą do świata abstrakcji i nie mają nic wspólnego, w najlepszym zaś razie niewiele wspólnego, ze światem poznawanym zmysłowo. Stosunek malarstwa polskiego do przedmiotów fizycznych będzie można omówić dokładniej po zwięzłej choćby analizie utworów typowych. Jak się przy tym okaże, odchylenia od „linii generalnej" naszego malarstwa są dość liczne, choć rzadko kiedy szczęśliwe. Żeby to udowodnić, musimy się zapoznać z wystawcami i ich sztuką.

Jerzy Bandura (Kraków) wystawił dwa małe obrazki o wyraźnym aspekcie konstruktywistycznym, zarazem jednak i przedmiotowym. Obraz „Gracze" odznacza się celową kompozycją, której zasadniczy trójkąt uzupełniają skupione górą stożkowate kapelusze groteskowych figur. **Stanisław Borysowski** (Kraków) jednoczy w swych nieco matowych pejzażach koloryzm i malarską plamę z linijnymi wtrętami w rodzaju uprawianym przez Dufy'ego. Cechą dodatnią tych obrazów są bardziej zdecydowane różnice walorowe niż u malarzy pokrewnych (na czym zyskuje bogactwo płótna), ujemną zaś nie zawsze harmonijne i logiczne powiązanie plam jasnych z ciemnymi. Najlepszym z jego obrazów wydaje mi się „ciemny", jednolicie zorganizowany krajobraz. Z pięciu obrazów, pokazanych przez **Jana Cybisa** (Warszawa), klasycznego przedstawiciela „kapizmu", wybijają się naszym zdaniem „Kury" i pejzaż „Nad Ikwą". Pierwsze płótno, utrzymane w gamie czerwonawo-szarej z silnym pośrodku akcentem niebieskim, malowane, jak wszystkie zresztą obrazy tego bardzo konsekwentnego i upartego artysty, grubymi smugami farby, tworzy interesujący, specyficznie dekoracyjny i polifoniczny zestrój, którego podstawą jest wyszukany koloryzm oraz wspomniana już charakterystyczna, gruzłowata faktura, nie bez znaczenia dla fizycznej konkretności płótna. Faktura ta utrudnia jednak widzenie całego „obrazu", narzucając się w zbyt silnym stopniu uwadze widza. Szarości malowidła przybierają w dolnej partii odcień popiołu, wzmacniający przez kontrast plamy czerwone. Niepokoją za to w chromatycznym zespole kompozycji żółte, surowe błyski na butelce. Pejzaż „Nad Ikwą" utrzymany w jasnej, zielonkawo-srebrzystej gamie, oglądany z daleka, uderza przejrzystością wody i powietrza, co bynajmniej nie osłabia jego wymowy malarskiej. Gama barwna Cybisa w stosunku do znanych przed woj-

ną płócien uległa ograniczeniu na rzecz ogólnego tonu.

Helena Cygańska (Warszawa) w swej „Martwej naturze z niebieskimi kwiatami" zdobyła się na ściszoną i ładną harmonię, podkreśloną przez matową powierzchnię obrazu.

Eugeniusz Eibisch wystawił tylko jeden obraz, mianowicie „Portret żony", który wydaje się interesującym przyczynkiem do jego sztuki, z jaką zaznajomił nas wszechstronnie zeszłoroczny Jesienny Salon w Krakowie. Portret ten umacnia nas w przekonaniu, że jego autor dysponuje rozległą gamą barwną, w której jest miejsce zarówno na ściszone i stłumione harmonie, jak również na nasycone i intensywne kolory. We wspomnianym portrecie uderzają łagodne i delikatne akordy barwne, oparte na zespole plam brunatnych i popielato-srebrzystych, wzmocnionych jasnym fioletem.

Bogactwem czysto malarskich jakości zniewalają martwe natury **Jerzego Fedkowicza** (Kraków), malowane wytwornie i miękko, uderzające ciepłym zespołem barwnym, w którym czołową bodaj rolę grają czerwienie w otoczeniu plam brunatno-żółtawych. Szczególnie „Martwa natura I" posiada poważną, ciemniejszą od drugiej, jednolitą powierzchnię i stanowi przykład dobrego, poważnego malarstwa. **Eugeniusz Geppert** (Kraków) nawiązuje do dobrej tradycji batalistyki polskiej, interesuje się przedmiotem i jego dynamiczną ekspresją.

Kiedy piszę te słowa, przychodzi mi na myśl, że opis poszczególnych prac może nużyć czytelnika, zwłaszcza niefachowego; a takich jest większość. A przecież obraz jest tworem indywidualnym i ma prawo do tego, żeby go traktować jednostkowo. Trzeba więc wybrnąć z tego dylematu przez skrócenie i tak zbyt krótkich analiz.

Maria Jarema (Kraków) wystawia konstruktywistyczno-abstrakcyjne kompozycje, nieznacznie tylko potrącające o strunę rzeczywistości, kolorystycznie oryginalne, śmiałe.

„Dziewczyna z dzbankiem" **Tadeusza Łakomskiego** (Kraków) odznacza się celową, zamkniętą formą i brunatno-niebieskim tonem barwnym. **Tadeusz Kantor** (Kraków) geometryzuje i upraszcza motyw człowieka, widząc w nim groteskowego „potworka", a olejną farbą posługuje się jak tynkiem. **Mariana Klaklika** (Zakopane) wymienia się dlatego, że jego symptomatyczna dla pewnej grupy malarzy tradycjonalistyczna przedmiotowość, wyrażona w „rodzajowym" obrazie „Prządka", zbliżona do maniery Łukaszowców, wydaje się dzisiaj zjawiskiem anachronicznym. Obrazy krakowianina **Jana Książka** znamy z wystaw krakowskich. Martwa natura **Adama Marczyńskiego** (Kraków) o zgłuszonej i ładnej polifoniczności, z lekka geometryczna i zbudowana z dość dużych plam barwnych nie odbiega swym typem od znanych studiów tego utalentowanego artysty.

Od malarzy krakowskich różni się znacznie **Konstanty Mackiewicz** (Łódź), którego brunatny w tonie i lśniący krajobraz urbanistyczny kojarzy się ze sztuką Utrilla, a szary widok zimowy przywodzi na myśl Maneta, z czego nie wynika jednak, że chodzi tu tylko o naśladownictwo. Jako przykrą niespodziankę odczuwa się obraz **Antoniego Michalaka** (Kazimierz), jednego z czołowych Łukaszowców, gdyż wymalowana przezeń „Babka z córeczką" ujawnia obok brawurowej faktury brak poczucia koloru, rozkład przestrzenno-rysunkowej formy i pustą wirtuozerię. **Jerzy Mierzejewski** (Łódź) demonstruje w swym „Grajku" pewien typ fizjonomiczny zbliżony do kreacyj swego ojca Jacka Mierzejewskiego, oraz bardziej nasycony, lecz dość obojętny jakościowo koloryt. **Stanisław Milli** udowadnia swą przynależność do szkoły krakowskiej przez rozbicie koloru na składniki przy użyciu drobniutkiej smugi barwnej, powtórzonej wielokrotnie w granicach pagórkowatego pejzażu z domkami i skałami. Nawrót **Tymona Niesiołowskiego** (Toruń) do realizmu nie przyniósł niestety dobrych rezultatów. Zbyt „cieliste" akty modelowane szarym kolorem lokalnym graniczą o miedzę z pojęciem sztuki banalnej. Warszawianka **Maria Obrębska** w swoim temperowym krajobrazie wykazuje również nawiązania do krakowskiego sposobu malowania. „Jabłka" **Leona Ormezowskiego** (Łódź) różnią się od wielu innych obrazów jednolitym tonem ciemno-zielonym i pewną energią formułowania, wzorowaną na Van Goghu. „Wnętrze" **Jana Piaseckiego** z Poznania to właściwie martwa natura, złożona z szerokich smug czerwieni i błękitu.

„Gitarzysta" **Zbigniewa Pronaszki** (Kraków) został już oceniony pochlebnie po wystawieniu go w Krakowie. Obecnie przedstawia artysta jeszcze „Portret poety" (J. Zawieyskiego) w czerwonym surducie na tle żółtym, jeszcze intensywniejszy w kolorze od „Gitarzysty", frapujący swą gorącą i odważną gamą, może jeden z najlepszych znanych mi obrazów malarza. Tytuł tego wizerunku nie jest tytułem przesadnym, gdyż istotnie obraz jest „portretem poety" w związku ze swoją nie tylko malarską, lecz także psychologiczną wymową. Pełen blasku koloryt łączy się na zasadzie kontrastu z wyrazem fizjonomicznym, określonym spojrzeniem zamglonym, widzącym inaczej i więcej od zwykłych ludzi. Można by wyraz tego portretu określić trafniej odpowiednią przenośnią literacką, ale beletryzowanie uwag krytycznych jest mi raczej obce.

„Martwe natury" i „Studium portretowe" **Zygmunta Radnickiego** (Kraków) potwierdzają kulturę plastyczną tego refleksyjnego artysty; jego prostota i staranność w realizacji obrazu wynikają z opanowania wizji.

Hanna Rudzka, którą uważam za bardzo uzdolnioną i wytrawną malarkę, wystawiła „Portret skrzypka", oparty na bogatej gamie, złożonej z czerwieni, żółci i fioletu, wzmocnionej czynnikiem gęstej materii malarskiej. Układ kierunkowych elementów tego obrazu uległ jednakże zwichnięciu wskutek ucięcia wertykalnej sylwety skrzypka ukośną formą leżącego futerału.

„Przyjaciółki" **Teresy Roszkowskiej** (Warszawa) wydają się spłyconą i „ugrzecznioną" reminiscencją Gauguina. Pejzaże **Natalii Rumińskiej-Gerżabkowej** (Kraków), utrzymane w bladej tonacji, przynależą dzięki gatunkowi swego koloru do najbardziej dzisiaj aktywnej szkoły krakowskiej.

Łączność z tą szkołą, dawniej organiczna, ulega rozluźnieniu w przypadku **Czesława Rzepińskiego** (Kraków), którego cechuje ambitna dążność do zdobycia własnych środków wyrazu. W obydwóch wystawionych przez niego portretach kobiecych i „Obozie cygańskim" zwraca uwagę silniejszy niż dawniej współczynnik treści przedmiotowych, szacunek dla człowieka, całkowanie koloru zamiast jego atomizacji, co podkreśla materialność przedstawionych postaci, cięższy niż uprzednio i nasycony koloryt oraz spokojna, raczej gładka faktura. Jego krajobraz z czerwonymi domami wydaje się mocno ukształtowanym zespołem jakości, oddziałującym także dramatyczną ekspresją. Właściwości te stanowią konsekwencję zmiany stosunku do świata i próbę jego urealnienia w obrazie.

Sprawa tematu pasjonuje **Juliana Siemiona-Siemieńskiego** (Kraków), czego dowodem jest zwłaszcza „Polonia", którą lepiej (jak przyznał zresztą sam artysta) byłoby nazwać „Orką". Drogą uwypuklenia pewnej prawdy sytuacyjno-przedmiotowej i użycia ciemnego zespołu barwnego zmierza artysta do wyrażania spraw ogólnoludzkich. Obrazy te wymagają jednak pogłębienia pod względem formalnym. **Alojzego Siweckiego** (Kraków) „Martwa natura" z typowym dla postimpresjonizmu doborem realiów (flaszki, czajnik itd.), opiera swą egzystencję barwną na opozycjach barw zimnych i ciepłych.

Jan Seweryn Sokołowski (Warszawa) przedstawia dużych rozmiarów rozległy krajobraz, malowany dużymi, gęstymi smugami farby, utrzymany w jednolitej, ciepło-szarawej tonacji, nie pozbawiony emocjonalnej wymowy. W „Pejzażu" **Stanisława Szczepańskiego** (Poznań), typowym dla tego wytwornego i kameralnego kolorysty, zwraca uwagę celne użycie akcentu w postaci zupełnie czerwonych krów, których barwa nabiera szczególnej dźwięczności na tle zielonkawego podłoża.

Walentyna Symonowicz-Mierzejewska (Łódź), na którą zwrócono uwagę dzięki wystawie łódzkiej, prezentuje dużą kompozycję figuralną pt. „Idylla"; jej nowość na tle przeciętnego charakteru dzisiejszej, wielobarwnej sztuki, polega na podporządkowaniu koloru budowie przestrzennej, określonej wzajemnym ustosunkowaniem mnogich nagości sugerujących tematy Tycjana i wczesną fazę twórczości Cézanne'a. Stłoczone w tym obrazie monochromiczne akty kształtuje artystka przy pomocy trochę pobieżnego, brunatnego konturu. Notujemy to zjawisko głównie z powodu jego tendencji formalnej, znamionującej odwrót od jednostronnego koloryzmu.

„Martwa natura" **Bogusława Szwacza** (Kraków), złożona z butelek i jabłek, utrzymana w ciepłej i poważnej gamie, z daleka nieco bursztynowej, posiada gęstą, szlachetną materialność. Kompozycje i martwe natury **Wacława Taranczewskiego** (Poznań), stanowią przykład programowej, czystej, zbyt ascetycznej malarskości, nieco monotonnej przez nadmiar przebieleń, brak konsystencji materialnej i szkicową „lekkość" powierzchni, czasami zanadto różowej. Pewne zbieżności z Van Goghiem i Waliszewskim oraz niejasność wzajemnego ustosunkowania niewyraźnie wyobrażonych przedmiotów, określają bliżej wyglądy jego płócien. **Stanisław Teisseyre** (Warszawa) posługuje się w swych olejnych pracach, „Kompozycji" i „Martwej naturze" energiczną smugą barwną i ujawnia „własny" stosunek do świata, niełatwy do sprecyzowania.

„Martwa natura" **Eustachego Wasilkowskiego** (Kraków) odznacza się ciemnym, szarym kolorem i konkretnym ujmowaniem rzeczywistych przedmiotów. Tematowy obraz „Sąd Parysa" **Jana Wodyńskiego** (Toruń), dawnego członka „Pryzmatu", zawiera sporo szczerego liryzmu, który wynika zarówno z bukolicznego motywu, jak i z pogodnej, żółtawo-niebieskiej gamy. Pejzaże **Jerzego Wolffa** (Warszawa) różnią się od „kapistowskich" metod malowania, nie rozbijają bowiem koloru, posługując się szeroką, często mglistą, jak gdyby zatartą plamą. W miejsce polifonii pojawia się tutaj zasada wspólnego, nieco szarawego tonu. „Ryby" **Zaręby-Cybisowej** (Warszawa), malowane prosto, szaro-żółtawe w ogólnym tonie, z którym korespondują różowe, czernią modelowane obłe kształty, dowodzą szczerego, emocjonalnego stosunku do natury.

Prac graficznych, rzecz dziwna, wystawiono niewiele. Przy tym mało wśród nich plansz przykuwających uwagę. **Stefan Mrożewski** w swym drzeworycie do „Boskiej komedii" powtarza znaną sprzed wojny technikę sztorcowego rytu i system białych kresek na tle czarnym, osiągając typowy już dla siebie gatunek ekspresji. Ołówkowe rysunki **Hipolita Polańskiego** (Warszawa) zbliżają się przez swoisty pointylizm do wizji Corota. Rysunki węglowe i akwaforty **Aleksandra Raka** (Gliwice) sygnalizują nową indywidualność twórczą. Ich realizm, ich mocne utwierdzenie w rzeczywistości społeczno-obyczajowej bynajmniej nie szkodzą lapidarnej formie, która nieco przypomina Daumiera, unikając jednak daumierowskich deformacyj. Z drzeworytów trzeba jeszcze wymienić prace **Wandy Telakowskiej** (Warszawa) i **Ludwika Tyrowicza** (Łódź). Dobry rysunek tuszem, podmalowany monochromicznie akwarelą wystawił **Antoni Uniechowski** (Kraków). Ostro i stylowo scharakteryzowane typy ukostiumowanych Anglików na statku, narysowane giętką, nerwową linią wolno uznać za przykład dobrej ilustracyjnej sztuki.

W świetle zapewne zbyt pobieżnie omówionych eksponatów zarysowują się zjawiska czy fakty, odnoszące się do współczesnej sztuki polskiej jako całości. Pod względem tematowym przeważa na wystawie, jak należało przewidywać, martwa natura. Między krajobrazem a studium figury ludzkiej zachodzi natomiast pewna równowaga w znaczeniu ilościowym. Notujemy to skwapliwie jako zapowiedź silniejszego zainteresowania się artystów motywem człowieka. Jeśli chodzi o topografię twórczości, wystawa poucza, że rzeźba centralizuje się głównie w Warszawie, a malarstwo w Krakowie. Nie ulega też wątpliwości, że Kraków jest najżywszym obecnie ośrodkiem malarskim i nadaje ton naszemu malarstwu w skali ogólnopolskiej. Bo nawet wybitniejsi malarze, zamieszkali w tej chwili gdzie indziej, kształtowali swą sztukę w Krakowie, udoskonalając ją w pracowniach paryskich. Wychowankami krakowskiej Akademii są przecież Jan Cybis, Szczepański i Wodyński. Obserwuje się przy tym wpływ ośrodka krakowskiego na inne, co prowadzi do uformowania się czegoś w rodzaju szkoły.

Wprawdzie wystawa informuje również, że istnieje sporo plastyków, którzy albo nie nawiązali kontaktu z malarstwem krakowskim, albo kontakt ten świadomie rozluźniają — ale charakter jednolity, ułatwiający przyporządkowanie dziełom cech wspólnych posiada przede wszystkim szkoła krakowska. Co ważniejsza zaś, malarstwo to genetycznie związane z Krakowem i Paryżem reprezentuje w tej chwili poziom wyższy od innych grup lokalnych. W praktyce wygląda to jeszcze tak: pewne oglądane na Salonie twory interesują przez swe odchylenia od „przeciętnej", wyznaczonej przez środowisko krakowskie; dostrzega się wśród nich obrazy w założeniu bogatsze czy bardziej wszechstronne nieraz od krakowskich dzięki uwzględnieniu wyraźnych składników przedmiotowych, a nawet „tematu", jakości przestrzennych, a więc perspektywicznych planów i modelunku światłocieniem oraz waloru, ale pod względem konstrukcji swych elementów w harmonijną całość, malowidła te nie dorównują krakowskim. Dzieła szkoły krakowskiej lub twory zbliżone do nich odznaczają się wyższym stopniem artyzmu i równiejszym poziomem, co jest wynikiem ustalenia się pewnej metody budowania obrazu kolorem, metody o tyle jasnej, że jej zrozumienie, a więc i jej przyswojenie zdaje się nie przedstawiać dzisiaj poważniejszych trudności.

Percepcję tej metody ułatwia także jej zwężenie, które sprowadza różnorodność jakości obrazowych do mianownika koloru z wyłączeniem silniejszych różnic walorowych i innych formalnych elementów dzieła. Stosunek tych wytworów do świata fizycznego bywa dość obojętny, a w każdym razie swobodny i jednostronny w tym znaczeniu, że na ogół nie chodzi tu o przedstawienie całości zjawisk „materialnych", lecz raczej o samoistną konstrukcję barwną, o polifoniczną stronę malowidła. Nie trzeba już chyba wyjaśniać dokładniej, że rezultaty stosowania tego estetycznego programu zależą od indywidualnego talentu i wrodzonego oraz rozwiniętego poczucia koloru.

Można by jeszcze próbować odpowiedzi na pytanie, czy opisana sytuacja artystyczna posiada znaczenie dodatnie, czy ujemne? Czy zatem należy ją aprobować, czy z nią walczyć? Powzięcie decyzji jest w tym przypadku niełatwe zwłaszcza wówczas, kiedy się posiada poczucie odpowiedzialności. Powstanie szkół czy kierunków artystycznych uznaje się zazwyczaj za objaw dodatni, ponieważ tylko na podłożu wartości ustalonych, gwarantujących więc jaką taką trwałość, można dojść do poważniejszych wyników artystycznych. Ustawiczne rwanie się tradycji i szamotanie się pośród kierunków rozmaitych, często sobie przeciwnych, przeszkadza w osiągnięciu choćby tylko jakościowego poziomu twórczości, wymagającej przecież długich lat konsekwentnej rozbudowy ideowych założeń.

Ale wspomniana jednostronność panującego w Polsce malarskiego kierunku może budzić niepokój o tyle, że sztywny formalizm prowadzi zawsze do manieryzmu. Sztuka nie może się opierać tylko na gotowych formułach estetycznych, lecz musi sycić się życiem i szukać podniet w świecie otaczających nas zjawisk, musi też afirmować człowieka i to nie tylko pod względem fizycznym. Winna także łączyć się przy pomocy rozlicznych sprzęgieł z ludźmi, pośród których się rodzi, rozkwita, a z czasem przemija. Nazywamy to społeczną funkcją sztuki, przed którą jej twórcy prawie nigdy się nie uchylali. Dlatego zwracamy szczególną uwagę na te symptomy dzisiejszej sztuki, które dowodzą rozumienia tej sprawy i prowadzą do nowego współżycia plastyki z rzeszą jej odbiorców. Wysiłki tego rodzaju dostrzegamy także w obozie prozelitów tzw. czystej formy, nawet takich, którzy nie chcą do tych wysiłków się przyznać. Objaw ten napawa nas uzasadnionym optymizmem.

Tadeusz Dobrowolski

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Aleksander Baumgardten: Po przerwie wojennej próbuję się trochę scentralizować i „pozbierać" artystycznie. Zasadniczo przestawiam się na prozę, nie zaniedbując jednak poezji. W najbliższym miesiącu wydaję bajkę dla dzieci (u M. Kowalskiego); również w czerwcu wyjdzie napisana wspólnie z Józefem Prutkowskim powieść satyryczna „Szukamy pana H". (Oficyna Wydawnicza — Katowice).

Niezależnie od tych dwóch pozycyj przygotowałem do druku tom nowel, których tłem (nie tematem) jest ostatnia wojna. Nowele te mają dać analityczny przekrój klimatu duchowego ludzi napadniętych przez wojnę i usiłujących sprostać jej problemom. W sprawie wydania rzeczonego tomu jestem w kontakcie z „Czytelnikiem". Prowizoryczny tytuł tego tomu: „Ludzie przed jutrem".

W chwili obecnej mam na warsztacie dramat o tematyce niewojennej (to dla uspokojenia opinii publicznej).

Na jesieni wydaję arkusz poetycki, obejmujący mój najnowszy, szczupły zresztą dorobek poetycki.

Poza tym mam kilka propozycyj w sprawach prac naukowych, związanych z problemami Ziem Odzyskanych.

Więcej grzechów nie pamiętam.

Bolesław Dudziński: Od marca 1945 r. tkwię w publicystyce bieżącej, traktując to jako niezbędną pracę zarobkową, dającą możność wypowiedzi bezpośredniej w wielu sprawach nowej rzeczywistości polskiej. Nie zaniedbuję jednak krytyki literackiej, który to rodzaj pisarstwa najbardziej mi odpowiada.

Wskutek przejść wojennych (wysiedlenie i powstanie warszawskie) pozbawiony zostałem notatek i materiałów, zbieranych przez lata, a dotyczących m. in. dziejów teatru łódzkiego oraz powieści polskiej okresu dwudziestolecia, o czym zamierzałem pisać obszerniej. Na rekonstrukcję tych materiałów brak mi dzisiaj czasu. Szkodą dla mnie niepowetowaną i ogromnym utrudnieniem w pracy jest rozgrabienie mojej biblioteki podczas okupacji, co odbyło się, niestety, nie bez wydatnego udziału czynników rodzimych.

Noszę się z zamiarem napisania zbioru wspomnień i opowiadań z powstania warszawskiego. Na marginesie zajęć codziennych chętnie bym przetłumaczył głośną dziś na Zachodzie powieść R. Gary'ego — „Éducation européenne", nie dlatego, bym widział w niej arcydzieło, lecz dlatego, iż jest ona ciekawym szczegółem obrazu naszej rzeczywistości okupacyjnej w oczach cudzoziemców.

To wszystko, czyli bardzo niewiele. Parafrazując znane sprzed wojny powiedzenie, można by rzec: „Jeśli nie można pisać tego co się lubi, trzeba lubić to co się pisze". Bo życie, jak wiadomo, nie jest romansem.

Roman Kamiński: Przygotowuję do druku tom wierszy „Dwie dłonie". Niestety udało mi się zachować lub zrekonstruować nikłą zaledwie cząstkę utworów pisanych w latach 1938—1944. Uzupełniam książkę nowalią powojenną.

Pracuję nad cyklem opowiadań wojennych pt. „Sabotaż". Na marginesie właściwej twórczości narysowałem szereg humoresek o podkładzie surrealistycznym. Całość nazwałem: „Chleb".

Zamierzam opracować scenariusz filmu długometrażowego według niedrukowanej noweli J. Millkra „Izeddyt". Realizacji moich projektów stoją na przeszkodzie trudności mieszkaniowe (niedościgłe marzenie — pokój jednoosobowy), tudzież konieczność pracy zarobkowej.

Narcyz Łubnicki: Większość mych rękopisów zaginęła wskutek niespodziewanego nocnego wysiedlenia przez gestapo z Łodzi w roku 1939.

W czasie okupacji zdołałem zrekonstruować większą pracę z pogranicza etyki i teorii poznania pt. „Sens życia ze stanowiska pozytywistycznego" i (częściowo) „Krytykę krytyki logiki tradycyjnej", w której staram się wykazać charakter metafizyczny popularnego wśród logistyków rozróżniania nazw pustych i niepustych.

W czasie wojny opracowałem „Zarys logiki i metodologii", „Teorię poznania do użytku słuchaczy szkół wyższych" i kilkanaście szkiców metodologicznych. Obecnie wykańczam pracę systematyczno-krytyczną pt. „Teoria poznania materializmu dialektycznego".

Już dawno noszę się z myślą napisania lekkostrawnego i pobudzającego do myślenia „Wstępu do filozofii na podstawie analizy dowcipu". Brak mi jednak materiałów, o czym pragnę zakomunikować osobom życzliwym, prosząc o nadsyłanie do Zakładu Filozofii Systematycznej U. M. C. S. w Lublinie dowcipnych tekstów „o głębszym znaczeniu" (mówiąc stylem konferansjerów), dających się interpretować psychologicznie, logicznie, gnoseologicznie itd.

Władysław Tatarkiewicz: W niedługim czasie ukaże się w wydawnictwie Polskiej Akademii Umiejętności praca moja „Dwa baroki, krakowski i wileński". Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i „Czytelnika" ukaże się nowe wydanie „Historii filozofii". Pracuję obecnie nad „Filozofią współczesną", która stanowić będzie dalszy ciąg (trzeci tom) „Historii filozofii". Podjąłem na nowo wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego", którego redaktorem byłem przed wojną z ramienia Warszawskiego Towarzystwa Filozoficznego. Przez 6 lat pismo nie mogło wychodzić. Teraz, dzięki pomocy Ministerstwa Oświaty, wyjdzie nowy zeszyt, który zamknie 42 rocznik pisma, zaczęty w 1939 r. (Spisy prenumeratorów spłonęły w Warszawie, ale mam nadzieję, że się sami zgłoszą).

Gdy skończę tamte prace, zwłaszcza „Filozofię współczesną", wtedy zajmę się wydaniem napisanej podczas wojny większej książki „O szczęściu". Na razie ukazują się z niej tylko poszczególne rozdziały: w „Nauce i Sztuce", „Tygodniku Warszawskim", „Problemach", w „Studia Philosophica".

Zdzisław Zygulski: Podczas wojny napisałem obszerną monografię o „Hamlecie i hamletologii". Mam nadzieję, że zastąpi ona dawną monografię Matlakowskiego na ten sam temat, dziś już częściowo przestarzałą i trudno dostępną. Zebrałem też materiały do monografii „Sceniczne dzieje Hamleta", niestety wykończenie jej natrafia w obecnych powojennych warunkach na duże trudności. W przygotowaniu do druku druga część mej pracy „Tragedie Seneki a dramat nowożytny". (Część pierwszą opublikowało Lwowskie Towarzystwo Naukowe w lecie 1939 roku). W przyszłym roku zamierzam opracować nową monografię z literatury porównawczej „Legenda o Don Juanie w literaturze czterech stuleci".

*) Por. odpowiedzi w nr. nr. 68—81 „Odrodzenia".

„Obywatelu ministrze, jak panu idzie kinofikacja?“

W drugim numerze „Języka Polskiego“ (marzec-kwiecień 1946) ukazały się dwie nadzwyczaj ciekawe i cenne prace, które powinny ściągnąć na siebie uwagę szerokich rzesz czytelniczych: prof. Zenona Klemensiewicza „Pan i obywatel“ i doc. A. Obrębskiej-Jabłońskiej „Kinofikacja“

Prof. Klemensiewicz przedstawia w swym studium w sposób jasny i zwarty, bogato dokumentując materiałem literackim i słownikarskim, dzieje rozwoju znaczenia obu wyrazów, lingwistyczno-kulturalną karierę „pana“ i „obywatela“. „Pan“ odbył drogę od pańskości do pospolitości. Oddajmy głos autorowi: „Z jego dziejów widoczne, że podstawowe i pierwotne znaczenie „ktoś społecznie i majątkowo wywyższony“ było w ciągu wielowiekowego użycia spychane na dalszy plan, wskutek czego stawał się grzecznościowym wyrazem oznaczającym towarzyską uprzejmość względem osoby 2., rozmówcy, lub 3., o której się mówi. Takie użycie ograniczone zrazu do osób należących do tzw. towarzystwa, a więc niezawodnie zamknięte w obrębie panującego społecznie stanu, rozszerza się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat poza te granice i odnosi się do kogokolwiek bez względu na stanową czy warstwową przynależność. Posługując się terminami z innej dziedziny można by powiedzieć, że rosnąca z czasem inflacja wyrazu „pan“ sprowadziła z czasem jego dewaluację, a w tych okolicznościach tytuł ten stał się dostępny dla każdego. A w tym fakcie szerzenia się wyrazu „pan“ stwierdzić należy zarazem językowo-towarzyski objaw demokratyzacji poprzez swoistą nobilitację, ponieważ każdy zyskuje prawo do tytułu, który niegdyś tylko wybranym przysługiwał“.

Inna była droga „obywatela“. Wyraz to niepolski, słowiański, klasyczny szkolny przykład na wpływ czeszczyzny na mowę ojczystą. Obywatel pierwotnie oznaczał mieszkańca, potem człowieka cywilnie i politycznie wolnego, członka społeczności. Wiekowi XIX zawdzięczamy dwa zróżnicowania znaczeniowe tego słowa: tytuł rewolucyjny (citoyen) i właściciel ziemski albo posiadacz domu w mieście. Oboczność dość kapryśna: symbol przewrotu społecznego i symbol własności. „Jako termin, dotyczący stosunku jednostki do państwa, przysługuje wyraz „obywatel“ każdemu, ale jako tytuł tylko wybranym właścicielom dóbr lub realności. Tendencje rozwojowe tytułu „obywatel“ są tedy niewątpliwie mniej demokratyczne, niż tytułu „pan“, przeciw któremu może przemawiać nie zawartość myślowa, ale ujemne zabarwienie uczuciowe, zrodzone w długotrwałym konflikcie społecznym pana i niepana, zwłaszcza chłopa, skojarzone z bolesnym wspomnieniem „pańszczyzny“ w najszerszym tego wyrazu znaczeniu“.

Cennym szczegółem w rozprawie prof. Klemensiewicza jest uwzględnienie roli czynników uczuciowych w procesach językowo-kulturalnych. Ponieważ przyjęcie wyrazu „obywatel“ w urzędowej tytulacji należy do szeregu zjawisk pozalingwistycznych, więc zasadniczo nie może być dyskusji językoznawczej na ten temat. Językoznawca zatem, jak prof. Klemensiewicz, poprzestaje na ukazaniu tradycji słownikarskiej i naszkicowaniu zmiany znaczeń „pana“ i „obywatela“. Można co najwyżej snuć pewne przypuszczenia, jaki los przypadnie nowemu tytułowi. Konserwatywny charakter języka odegrał tak donośną rolę w zachowaniu odrębności narodowej w czasie naszej niewoli politycznej, że byłoby niewdzięcznością, nie mówiąc już o nienaukowości takiego stanowiska, oskarżać zwyczaj językowy o reakcję. Rząd uszanował obyczaj narodowy poprzestając na „obywatelu“ w aktach urzędowych. Prywatnie mówimy „panie“ nawet do wysokich dostojników państwowych. Słuszne jest chyba przewidywanie prof. Klemensiewicza, że ustali się u nas „dwutorowość zwyczaju językowego: na codzień „pan“, od święta i publicznego występu „obywatel“. Dodałbym jeszcze kombinację trzecią, mieszaną, typu: „Obywatelu ministrze, jak panu idzie kinofikacja?“

Konwencjonalny charakter tytułu „pan“ występuje jeszcze wyraźniej, gdy sprawę tę rozważamy porównawczo. Wówczas dopiero widać, jak jednolity, prosty, wygodny i nieoszacowany jest nasz „pan“. Jakiej sztuki towarzyskiej wymaga tytułowanie, niby zwyczajne, w języku włoskim, jakiej pomysłowości i taktu we francuskim, jakiej uwagi i dyplomacji w angielskim, a przecież francuski i angielski uchodzą za proste i mają dużą tradycję demokratyczną. Cóż dopiero powiemy o dostojnym ceremoniale hiszpańskim? Spotkałem kiedyś w Rzymie chłopską pielgrzymkę z Hiszpanii. Trzeba było słyszeć, jaką wspaniałość mowy reprezentowały te niepokaźne babiny w chustkach, dziwnie podobnych do niedzielnego przyodziewku naszych zamożniejszych wieśniaczek, jak rozwijały na placu przed św. Piotrem wykwint Eskurialu, Wersalu i Ermitażu, ile było namaszczenia w ich kadencjach i półkadencjach, w których pojawiało się majestateczne „usted“ i „vuestramerced“ (oprócz señora).

Według językoznawców „pan“ większe ma szanse od „obywatela“, bo jest starszy, doskonale zautomatyzowany, krótszy i bardzo wygodny. Pan nie obraża dzisiaj niczyich przekonań politycznych. Prof. Nitsch twierdzi, że chłopi lubią tytuł „pan“, zachowując zazdrośnie na użytek własny, międzychłopski formę „wy“ jako pluralis majestaticus i pluralis poufałościowy. W dyskusji nad pracą prof. Klemensiewicza, w Krakowskim Towarzystwie Miłośników Języka Polskiego, zauważył Leon Płoszewski, że razić może ten tytuł tylko tych Słowian, którzy nie mając we własnym języku odpowiednika naszego grzecznościowego „pana“ wyczuwają w nim wskutek błędnego poczucia językowego odcień społecznej wyższości.

Trudno jednak tak dalece posuwać uprzejmość, żeby chcieć dogodzić wszystkim poczuciom językowym. Ostatecznie każdy naród ma swój język przede wszystkim dla siebie. Nic bardziej opacznego, jak poczucie niewłaściwości lub śmieszności form czy zwrotów, istniejących w obcej mowie. Zagadnienie to stare jak ludzkość. Zbiory traktatów i anegdot na ten temat zapełniłyby całą bibliotekę. W ogóle nie jest to zagadnienie naukowe, dlatego trudno je brać poważnie.

To poczucie niewłaściwości jest względne. Kto czytał Dostojewskiego, pamięta jak ten reakcjonista rosyjski i polakożerca natrząsał się z polskiego tytułu „pan“. Wyobrażam sobie, jaki by kąsek znalazł dla swego szyderstwa, gdyby usłyszał w Polsce tytułujących się per „pan“ dziadów pod kościołem, albo sprzeczkę dwu śmieciarek, które obsypując się soczystymi obelgami, nie pomijają towarzyskiej formy „pani“. Kto rozmawiał z członkami Czerwonej Armii, wie, że wyraz „pan“ uważają oni za charakterystyczny tytuł polski. Starszyznę czasami śmieszył ten tytuł. Przeważnie jednak żołnierze i oficerowie na moje „wy“ lub tykanie per „towariszcz“ odpowiadali per „pan“; o zrozumieniu przez nich właściwego znaczenia tego słowa, jako nieobowiązującej formułki towarzyskiej świadczy fakt stawiania go na początku zdania i łączenia z rozkaźnikiem: pan słuchaj, pan powiedz, pan pij, pan daj itd.

Ponieważ w dziejach zwyczajów językowych jest zasadniczo wszystko możliwe, więc wolno też sobie wyobrazić, że wskutek uświadomienia społecznego i dojrzałości politycznej zniknie z mowy polskiej „pan“, a na placu zostanie „obywatel“, i że równocześnie powracający do swego kraju żołnierze i urzędnicy radzieccy przeniosą skazanego na banicję „pana“ do Rosji i utrwalą go nad Donem i Wołgą, jako nową i modną formę towarzyską, o posmaku egzotycznym. Wówczas „pan“ zostanie należycie pomszczony.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z „kinofikacją“. Rzeczową i rozumną analizę tego terminu dała doc. A. Obrębska-Jabłońska. Językoznawcy najczęściej zaczynają od grupy indoeuropejskiej, czyli trochę sprzed Adama i Ewy. Tym razem czytelnik może być spokojny: ani jednego źrdłosłowu sanskryckiego, ani źdźbła prasłowiańszczyzny. Naturalnym punktem wyjścia rozważań jest słowotwórstwo łacińskie i jego tradycje w wiekach średnich.

Ponieważ to jest kolebka europejskiej terminologii technicznej (przynajmniej dla południowego-zachodu, północy i środka naszego kontynentu), więc może należałoby uwagi językoznawcze uzupełnić uwagami z dziejów techniki, podkreślić techniczne uzdolnienia Rzymian, ukazać związek języka z rozwojem cywilizacji. Średniowieczna pasja terminologiczna (praca nad logiką), aspekt kosmopolityczny kultury i cywilizacji średniowiecznej, rozwój rzemiosł, epoka cegły budowlanej, powstanie handlu światowego i bankierstwa, niewidzianego przedtem w tej skali na zachodzie, oto podłoże, na którym kształcą się języki nowożytne.

Rozważania językoznawcze wypadły bardzo nieprzychylnie dla „kinofikacji“. Okazuje się, że śliczny ten wyraz, ozdoba współczesnej, urzędowej polszczyzny, nie ma należytych podstaw słowotwórczych i nie znajduje usprawiedliwienia w kierunku rozwojowym języka ojczystego. O tym, że nie przedstawia on żadnych wartości praktycznych, jakie posiadają niektóre skróty lub nowotwory, wiedzieli wszyscy od dawna. Trzeba być jednak sprawiedliwym. Ma on pewną wartość, jak na dzisiejsze czasy wcale niepoślednią, a mianowicie wartość humorystyczną.

Termin ten przeniesiono żywcem z języka rosyjskiego (będzie to ewentualna rekompensata za „pana“, jeśli on się zadomowi w Rosji), gdzie można go zrozumieć w radzieckim systemie słownictwa technicznego. Obok kinofikacji obywatele ZSRR mają radiofikację, gazyfikację, chimifikację, termofikację (ciepłofikację) itp. cuda nowoczesnego życia. „Jak widzimy — powiada autorka — wyrazy powyższe stanowią zespół terminów specjalnych z zakresu (że zaryzykuję w tym kontekście doraźny neologizm) „technifikacji“ życia rosyjskiego: mają one swoje uzasadnienie w ich liczbie, w ich seryjności i w kierunku rozwojowym współczesnego słownictwa rosyjskiego“.

Autorka wyjaśnia swoisty charakter technicznego słownictwa rosyjskiego procesem gwałtownego uprzemysłowienia kraju. Najciekawszym faktem jest stwierdzenie, że moda na skróty i cudaczne zlepki w Rosji już minęła, że pisarze i naukowcy stają w obronie języka literackiego, występują przeciwko zaśmiecaniu mowy rodzinnej ubocznymi produktami industrializacji. Okoliczność to bynajmniej nie łagodząca dla naszych nowinkarzy i ślepych naśladowców.

W wyniku swych wywodów Obrębska-Jabłońska sądzi, że zamiast „Wydziału kinofikacji“ odpowiedniejsze byłoby „Biuro rozdziału filmów“ lub „Wydział organizacji sztuki filmowej“. Zupełnie słusznie. Dobrze, iż wreszcie ktoś zajął się fachowo krytyką dziecinnej, współczesnej nomenklaturomanii. Trzeba żądać ostro podziału pracy. Do działalności ministerstwa należy pomnażanie sieci kin i upowszechnianie filmów. Nazywaniem zaś tej czynności winny się zajmować ciała bardziej kompetentne.

Wyraz „kinofikacja“ nie przyjął się, mimo że go bardzo forytowały redakcje pism humorystycznych, rady załogowe kabaretów i ogólnopolski związek zawodowy kpiarzy (subwencjonowani, jak przypuszczam, przez sekcję propagandy nowych terminów działającą incognito przy Wydziale Kinofikacji). Skutków czynności, wyrażonej przy pomocy tego dziwotworu językowego, też nie widać. Dużo lepiej udały się różne nieurzędowe i nieprzewidziane „-fikacje“, jak bimbrofikacja kraju, a zwłaszcza szabrofikacja.

Wacław Kubacki

Powrót Kopernika

WYSTAWA KOPERNIKOWSKA

Cicho i bez większego echa przeszła w Polsce 403 rocznica śmierci największego z jej synów — Mikołaja Kopernika. Nasza prasa codzienna, zajęta walką partyjną, powojennymi sprawami politycznymi, nie znalazła miejsca na kilka wierszy o Koperniku. Nie jestem astronomem i — dalibóg — więcej interesuje mnie obecnie umowa zbiorowa w dziennikarstwie, niż obroty ciał niebieskich, lecz jako Polak płonę rumieńcem wstydu za to poważne „przeoczenie“. Nie wiem, czy znalazłby się drugi naród na świecie, który by tak milcząco potrafił przejść obok tak ważnej rocznicy. Czyżby balast obchodów i rocznic tak nas już przytłaczał, że zapominamy o najważniejszych?

Jedynie Toruń i Warmia nie zapomniały o swoim wielkim synu! Wstępem do uroczystości kopernikowskich było otwarcie przez Instytut Mazurski „Wystawy Kopernikowskiej“ na zamku olsztyńskim. W dwu przestronnych salach muzeum mazurskiego zgromadzono wszystkie pamiątki, jakie w obecnych powojennych warunkach zdołano zebrać. Są więc reprodukcje starych sztychów i zdjęcia miejscowości związanych z życiem wielkiego astronoma: Toruń, Kraków, Olsztyn, Lidzbark i Frombork; są kopie dyplomów naukowych Kopernika; są stare wydania dzieł Kopernika i jego następców. Spośród dzieł na uwagę zasługuje pierwsze europejskie wydanie „O obrotach ciał niebieskich“ w języku polskim z roku 1854 Jest rzeczą charakterystyczną, że wydanie polskie poprzedziło o całe ćwierć wieku wydanie niemieckie, co świadczy wymownie o tym, jakim zainteresowaniem cieszyła się nauka Kopernika w Niemczech. Zainteresowanie to wybitnie wzrosło dopiero wówczas, gdy Kopernik wszedł już niejako oficjalnie do Panteonu zasłużonych. Zawsze to zaszczyt mieć w swym narodzie jednego mędrca więcej, choćby skradzionego. Trzeba Niemcom przyznać, że w sposobach przywłaszczania cudzych skarbów byli mistrzami. Nie znalazłbyś w Prusach Wschodnich jednego miasteczka, które by nie miało ulicy nazwanej imieniem wielkiego astronoma. Nie przeczuwali Niemcy, jaką oddadzą nam przysługę: nie potrzebujemy dziś spolszczać tych ulic; pozostaną na wieki ulicami Kopernika.

Jest na wystawie kopernikowskiej za gablotką broszura recenzyjna: o książce niemieckiego historyka Hermana Kestena, wydanej w Londynie w roku 1945 pt. „Copernicus and his World“. Niemiecki historyk pisze o Koperniku: „Największym olbrzymem tysiąclecia był polski astronom. Miłując ład, wzniecił największą rewolucję — rewolucję w nauce. Chociaż pisał o księżycu i gwiazdach, nikt nie zadał potężniejszego ciosu ludzkości i jej fałszywej dumie...“

U GROBU ASTRONOMA

Otwarcie wystawy kopernikowskiej w Olsztynie było wstępem do szerszych uroczystości, jakie odbyły się u grobu astronoma w dniu 24 maja we Fromborku. Jakaś cicha, lecz potężna i radosna satysfakcja napełniała serce, kiedy pędziło się autem po wspaniałej autostradzie królewieckiej do miejsca wiecznego spoczynku jednego z największych Polaków. Była nią świadomość, że wraz z Warmią odzyskaliśmy, poza niezliczoną ilością polskich pamiątek — grób naszego rodaka, który winien stać się w przyszłych latach miejscem pielgrzymki całego świata naukowego.

Tej satysfakcji nie zdołał umniejszyć ponury widok doszczętnie spalonego Fromborka. Nietknięta została tylko wspaniała katedra, stanowiąca bezcenny klejnot polskiej architektury. Dziwne uczucie opanowuje nas na jej widok. Po przebytej drodze asfaltową niemiecką szosą, w mieście, do którego wstęp miało się nie tak dawno tylko za paszportem zagranicznym, stajemy twarzą w twarz z pomnikami naszej historii.

Niezatarta przeszłość nasza wyziera tu z każdego kąta, z każdego szczegółu architektonicznego, z każdego napisu na kamiennej posadzce. Jesteśmy, zda się, przeniesieni naraz w oazę polskości, oddychamy tu, w niedawnym centrum niemczyzny, jakoby atmosferą Wawelu. Nad zamczyskiem i katedrą unoszą się duchy biskupów warmijskich, w równej mierze kapłanów co bojowników polskości na przestrzeni kilku wieków. Szczątki ich doczesne ukryte są w podziemiach katedry. Tu też, w miejscu ściśle ustalonym, pod posadzką, pomiędzy kaplicą fundacji biskupa Szembeka a ołtarzem św. Bartłomieja, znajduje się najdroższa dla nas pamiątka — grób Mikołaja Kopernika.

Niezapomniane są wrażenia nawet z tych pobieżnych oględzin katedry i zamczyska fromborskiego. W ciszy naw, w majestacie ołtarzy, stall i kolumn, w powadze łacińskich napisów, milkną spory polityczne i rozgwar bieżących wydarzeń; przemawia do nas historia Polski minionej, utrwalona w kamieniu i drzewie dziełem rąk ludzkich i ducha ludzkiego.

Pierwsza w Odrodzonej Polsce zbiorowa wycieczka dla oddania hołdu pamięci Mikołaja Kopernika jest zasługą obecnego wojewody mazurskiego dra Zygmunta Robla. Powagę tej wycieczki podkreślała obecność przedstawicieli senatu akademickiego Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu, oraz wmurowanie obok tablicy pamiątkowej w katedrze wieńca laurowego z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, jako symbolu wiecznej łączności tej ziemi z Macierzą.

Należy się spodziewać, że w przyszłym roku wycieczka będzie miała już charakter ogólnopolski. Zawczasu jednak trzeba pomyśleć o odbudowaniu zniszczonego Fromborka. Gród Kopernika nie może być stertą ruin i popiołu.

Zbigniew Przygórski

NOWOŚĆ! *NOWOŚĆ!*
MORTON
INKLUZOWE WIANO
POWIEŚĆ
STRON 320 CENA 150 ZŁ
DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„KSIĄŻKA“
236

Ślad na skale

Władysław Chojnacki. Słownik polskich nazw miejscowości w b. Prusach Wschodnich i na obszarze b. wolnego miasta Gdańska według stanu z 1941 roku. Poznań, Instytut Zachodni, 1946; str. 183 i 1 nl.

Praca Chojnackiego, rozpoczęta tuż przed wojną i napisana podczas okupacji, ma mało równych sobie stopniem pożytku, tak aktualnego jak i naukowego. Odtworzenie polskiego imiennictwa na repolonizowanych obszarach wymaga gruntownego przygotowania, które można zdobyć drogą źródłowych badań. Źródłami są słowniki geograficzne, polskie i niemieckie, urzędowe spisy, przewodniki oraz prace historyczno-onomastyczne (np. Wojciecha Kętrzyńskiego „Nazwy miejscowe polskie Prus Zachodnich, Wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckimi" 1879), na koniec mapy. Ważnym źródłem, dla autora ze zrozumiałych względów niedostępnym, są materiały archiwalne w Królewcu i badania terenowe.

Każda z dwu części słownika — o Prusiech Wschodnich i Wolnym Mieście Gdańsku — rozpada się na dział niemiecko-polski i polsko-niemiecki, całość zaś obejmuje miejscowości o nazwach polskich lub dawniej przechrzczonych pruskich, litewskich i niemieckich.

Niby jądra w skorupach orzechów przechowały się w nazwach pamiątki i pomniki przeszłości. Ostały się one, mimo działania czasu, pod walcem niemczyzny, gdy marły pokolenia ludzi, którzy je stworzyli. Zniekształcone, germanizowane i znów przetwarzane na mowę rodzimą (np. Trappenfelde — Trepofałd, Ochsenkopf — Osękop) przetrwały klejnoty języka pruskiego, polskiego, litewskiego a może i jaćwińskiego: pruskie Ankematy, Bredynki i Downary, polskie Wawrochy, Zbiluty i Babięta, litewskie Audyniszki, Szyłele i Rominty.

Germanizacja odbywała się przez niemczenie brzmienia np. Sulimy — Sulimmen, przekład na język niemiecki np. Sobiewola — Figenwill, Szaleniec — Thoerichthof lub zupełne przemianowanie np. Straszewo — Dietrichsdorf. Akcja germanizacyjna przybrała na sile po pierwszej wojnie światowej. W latach 1926—1934 zmieniono w Prusiech Wschodnich z górą 270 nazw, w 1938 roku przechrzczono tu, podobnie zresztą jak na Śląsku i Łużycach „nie tylko parę tysięcy nazw miejscowych, ale także rzek, jezior, gór, lasów i innych nazw geograficznych".

Poza doniosłością praktyczną, publikacja stanowi pozycję naukową, która oczekuje co prawda uzupełnienia drogą badań archiwalnych i poszukiwań toponomastycznych.

Szczątki przeszłości tkwią w nazwach, jak w ziemi jej prochy. Oto Bobry, Bobrówko, Łosie, Niedźwiedzie, Niedźwiedzkie, Niedźwiedzie Bagno, Niedźwiedzi Róg, Sobole, Turowo, Turówko, Turzwica, Wydryny — ślady wymarłych lub nader rzadkich dziś zwierząt pierwotnej fauny. Bogaty świat ptactwa zdradzają nazwy: Bocianowo, Czajki (Kiwitten!), Czaple, Drozdowo, Gąsior, Gąsiorowo, Gąsiorówko, Gąski, Gil, Gilkowo, Gołąbki, Kaczki, Kaczorowo, Kaczorówko, Kaczynos, Kacza Kępa, Kokoszki, Kruki, Kukułka, Kukułcza Karczma, Kurki, Kurkowo, Kurczątki, Łabędź (2), Łabędziewo, Orliny, Orło, Orłowo, Orłówko, Przepiórki, Sikory, Sokoły (4), Sokółki (2), Sowiróg, Wrony, Wronka, Wronki, Wróble.

Listy zwierząt nie da się łatwo wyczerpać: Baranki, Baranowo, Barany, Kobylin, Kobyliny, Kobyłocha, Koty, Królikowo, Kozarek, Kozia Góra, Kozie Zdroje, Kozieł, Kozieniec, Kozin, Kozłowo, Kozłówko, Kózki, — wyraźne dowody chowu kóz, a nie, jak próbowano w nauce przedstawiać, ślady Chazarów — Liski, Lisewo, Lisie Jamy, Liszki, Lisy, Lisunie, Myszki, Owczarnie (7), Rosocha, Rosochackie, Rykowiec, Sarnowo, Sarnowski Młyn, Świnia Grupa, Świnie Oko, Świnia Kępa, Świnie Budy, Świnie Głowy, Świńcz, Wiewiórka, Wilczan, Wilczewo, Wilczki, Wilki, Wilkowo, Wolisko, Wołówko, Zajączki, Zajączkowski Młyn. Owady, gady, ryby: Dorsze, Gady, Leszcz, Linowo, Mrówki, Piskorzewo, Rybitwy, Rybno, Węzewo, Wężówka, Wężówko, Żabin, Żabinek, Żabinki, Żabiny Stare, Żabioch, Żabojedy.

Są w tym elementy nie bez znaczenia dla obrazu dawnej kultury gospodarczej pojezierza na prawym brzegu Wisły. Są stare osady służebnej ludności i osady, których nazwy zdradzają zawody osadników.

Więc: Kołodzieje, Kołodziej Grad, Koniuszyn, Kowale (4), Młynary, Pachoły, Rybaki, Rzeźniki, Skotniki, Smolniki, Strzelce, Strzelniki (Schuetzenau), Tracze, Woźnice, Zawady (Grenzwacht!) i to aż 12 miejscowości tej nazwy, Zastróżne, Zdunki, zakrzepła w nazwach tradycja pasterstwa i chowu zwierząt domowych (Pasterz!), rybołówstwa, bartnictwa: Bartki (4), Bartlówki (Bienerwiese!), Bartlewo, Bartlikowo. Dalej pszczelarstwa (Pasieki, Pszczółki), zwłaszcza zaś rolnictwa. Z nazw „przemysłowych" godzi się przytoczyć: Kowalewo, Kowalewskie, Kowalik, Kowalki, Piece, Rudziska, Szczytno, Strzyża (?). Spoza kraju, częściowo zapewne z jeństwa pochodzą osady: Ruski, Rusek, Rusinowo, Ruska Wieś, Ruś, Rusocinek, Tatary, Węgry, Cygany, Cyganki. Element ruski mógł osiadać drogą wnikania, albo też ma bardzo dawną metrykę na tym obszarze.

W świetle nazw i częstotliwości z jaka występują niektóre z nich, ujawnia się również dawna szata roślinna kraju: Borki (14), Borowe (6), Brzeźna, Brzózki, Brzozówki (9), Bukowce, Bukwałdy i Buchwałdy (4), Cedry, Cedrowskie Pole, Cis, Deby, Dąbkowy, Dąbrowy, Dąbrówki, Dębowce, Dębice, Dębiny (45), Gaje (3), Gałązki, Grabowy, Grabówki, Grabiny, Grabniki (19), Jabłonki (10), Jawory (3), Jesionowy (3), Jeglak (Fichtenwald), Klony, Klonowy, Klonówki (5), Lasy, Laski, Lasowice, Lesiny, Leśniki (10), Lipy, Lipniki, Lipowce (23), Olszewki, Olszewy, Olszyny (12), Orzechowy, Orzeszki (4), Wierzbowy, Wierzbianki, Wierzby 7), Wiśniewo, Zaborowy (3), Zakrzewy (3), Zalesia (5), Zieleńce, Zielone, Zielonki (11), Zielenina. Z flory wypada jeszcze zanotować: Chmielewy (5), Grzybinki, Grzybna, Grzybowy (5), Jagodne (5), Maliniaki, Malinowy, Malinówki (6), Rydzewy (4).

O zdobywaniu ziemi pod pług świadczą Porębiska, Poręby, Pólka, Oracze, Polskie Włóki, Dziewięć Włók (3) (Neunhuben), Siedem Włók i liczne Nowiny, Nowe Wsi, Nowe Dwory, Sobiewole, Sobiechy, Wole, Wólki. Zalesienie było znaczne i malało z biegiem czasu i karczunku. Zdobywanie ziemi ornej odbywało się pierwotnie w sposób ekstensywny przez palenie lasu. Dokumentem tego żarowego gospodarstwa byłyby nazwy: Opaleniec (Flammberg), Pogorzeł, Pogorzel Mały i Wielki, Popioły, Spaliny Wielkie i Małe.

Po dawnych punktach obronnych zostały Grodziska (4), Grodzie (Vogelsang) i Podzamcze.

Są również nazwy osobliwe, jak Bździele, Kurwie, Kurzybrak, Męczychudoba, Nicponie (3), Pupki, Usranki, Uszczany. Z patriotycznych niemieckich nazw warto przytoczyć historyczne: Jungingen, Wallenrod, Kniprode, Hermannshorst, Friedrichshagen, Wilhelmsruh. Rekord bije Hitlershoehe, na które przemianowano biedne Suczki w 1933 roku.

Lektura suchych na pozór nazw w słowniku jest, jak z tego wynika, pasjonująca. Skromna książka Chojnackiego przynosi walny dowód pierwotnie na wskroś słowiańskiego charakteru ziemi, która do nas obecnie wróciła. Przędziwo niemieckie było mocne. Nie było jednak aż tak „fein gesponnen, dass es nicht käme an die Sonne", aby prawda etniczna nie wyszła na jaw po tylu setkach lat i po tak wielkim nacisku germanizacji.

Pewną usterką opracowania są korektury językowe, do których wprowadzenia autor się przyznaje, w brzmieniu nazw, usuwaniu niektórych regionalizmów, w poprawkach pisowni itp. Ze stanowiska ścisłych wymagań naukowych są to rzeczy niepożądane.

Literatura onomastyczna zyskuje w pracy Chojnackiego piękną pozycję, za którą Instytutowi Zachodniemu należy się uznanie i wdzięczność. Wszystkie nasze trzy Instytuty, Bałtycki, Śląski i Zachodni, powinny mieć na uwadze rozbudowę tego typu prac. Czas, by wznowić badania Wojciecha Kętrzyńskiego „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich" i wrócić do wędrówek Alfonsa Parczewskiego, niezmordowanego wędrowca. Dla eksploratorów i badaczy obecnie nie ma już przeszkód.

Ożyją rzeczy tłumione, zapomniane, przemilczane, niedoceniane. Wypłynie niesfałszowana treść przeszłości, która pomyślną koleją rzeczy wróciła do życia i głosu.

Józef Sieradzki

PRZEGLĄD PRASY

Jeślibyśmy w najbardziej uproszczonej formie mieli nazwać prądy i nurty, którymi płynie współczesna myśl polska, powinnibyśmy obok głównego nurtu socjalistycznego wymienić nurt katolicki i nurt chłopski. Taki mógłby być teoretyczny punkt wyjścia.

Często dają się z obozu katolickiego zauważyć zajazdy i wypady podjazdowe przeciw okopom i wysuniętym placówkom frontu socjalistycznego. Zjawisko zrozumiałe, cóż na to jednak poradzić, że obóz katolicki dysponuje dość szczupłą kadrą oficerów liniowych. Stąd też ubóstwo dyskusji zasadniczych, a położenie nacisku na „bezogródki", „podwłosy" i (przerażająco słabe) „lajkoniki". Jest to tym bardziej niepomyślne zjawisko, że europejski katolicyzm — choć kierowany w dobie obecnej przez człowieka, który uczuciowo, a w znacznej mierze i politycznie wiązał się ze stroną w wojnie przegraną — odkrył w sobie świeże siły i możliwości i wymijając ubocza i zakamarki, do których wpędzić go chciały siły w nim wsteczne, znajdujące nieraz echo w Watykanie, skierował się w wielu krajach na drogę postępu i szukania modus vivendi z kierunkami demokratycznymi. To są sprawy znane i przykłady cytowane często. Najbardziej wymowne — z Francji. Katolicyzm polski od dość dawna nie szczędził francuskim braciom zarówno słów uznania jak spojrzeń pełnych nieufności. U nas zresztą nawet Piusa XI potrafiono nazywać — półgłośno — masonem.

Na tym tle z dużym zaciekawieniem oczekujemy zapowiedzianego miesięcznika „Znak", przygotowywanego przez grupę katolickiej inteligencji krakowskiej. Ma to być pismo „zagadnieniowe". Zważywszy niechęć, z jaką spotyka się działalność niektórych bardziej indywidualnych księży (np. ks. Henryka Weryńskiego, autora charakterystycznej broszury „Katolicy radykalni"), budzić może „Znak" tym żywsze zainteresowanie. Lecz skoro prace takich, jak ks. Weryński przedstawicieli postępowego katolicyzmu są w prasie katolickiej otoczone szczelnym milczeniem, a ich autorzy ścigani surowymi zarządzeniami władz kościelnych — rodzi się zrozumiały sceptycyzm, wzmocniony, gdy stwierdzimy, iż w próżnię przeważnie i do ciasnego kręgu zwolenników przemawia również „Dziś i Jutro", katolicki tygodnik społeczny, najbliższy stosunkowo kierunkowi postępowemu. Na próżno „Dziś i Jutro" sili się na podkreślanie swej prawowierności. Spotyka go niedowierzanie i słabo maskowana niechęć właśnie ze strony bardziej społecznie na prawo zorientowanych katolików. Cóż w tej sytuacji pomagają ostrożne „Odpowiedzi na głosy opinii" **Witolda Bieńkowskiego**, podkreślające, że „podjęte przez zespół „Dziś i Jutro" zadania wytworzenia katolickiego radykalnego ruchu społecznego nie rozbijają katolickiej jedności społecznej"? I jakże przekonywać mogą oporny ogół katolicki rozważania **Wojciecha Kętrzyńskiego** „Radykalizm a katolicyzm", pełne zastrzeżeń że katolicyzm „nie był i nie jest permanentną rewolucją, nie jest tym czynnikiem, który w pewnych momentach niespodziewanie cofał czy niespodziewanie posuwał naprzód rozwój ludzkości" i pełne układnych przypomnień, że „katolicyzm w pewnych okresach wpływał nawet hamująco na dziejowe procesy rewolucyjne, studził rozpalone namiętności" — jeżeli mimo wszystko autor staje na stanowisku, że „przeżywamy dzisiaj znów okres, w którym potrzebne jest napięcie rewolucyjnych zrywów". Ostrożność nie zawadzi: „nie ma i nie może być mowy o rewolucjonizowaniu katolicyzmu". Skoro jednak ostatnim słowem p. Kętrzyńskiego jest twierdzenie: „nie ma dziś pełnej moralności katolickiej, tam, gdzie nie ma pełnego uspołecznienia" — połowiczność poprzedzających myśli i słów staje się dla ogółu katolickiego i tak zbyt jaskrawa. Ów ogół nie lubi bowiem, gdy się go straszy możliwością „zapadnięcia w skrajny, egocentryczny indywidualizm" i wzywa do „zrewolucjonizowania". O wiele bardziej przemawia doń tematyka „Tygodnika Warszawskiego".

Za najważniejsze pismo „nurtu katolickiego" uchodzi słusznie „Tygodnik Powszechny". Dokładniejsze omówienie tego wydawnictwa krakowskiego przekracza możliwości „przeglądu", a szkoda, bo interesującego i godnego rozpatrzenia materiału znajduje się w nim sporo. Zwrócić więc przynajmniej należy uwagę na żywo prowadzony dział „Zagadnień", z temperamentem redagowane noty polemiczne i nieudałą próbę felietonu satyrycznego. Miejsce po Nowaczyńskim równie jest osierocone jak fotel „kronikarza" po wyjeździe Słonimskiego.

„Tygodnik Powszechny" publikuje również z numeru na numer dokumenty związane z polityką kurii rzymskiej wobec Polski w okresie drugiej wojny światowej. Dokumenty te znajdą zapewne krytyczne omówienie po ukazaniu się całości w druku, już teraz trudno się jednak powstrzymać od sceptycznej uwagi, że (godne uznania dla swego uporu i wytrwałości) wysiłki „Tygodnika Powszechnego" wydają się w znacznej mierze daremne. „Tygodnik Powszechny" przystąpił do publikacji wymienionych dokumentów z wyraźnym celem udowodnienia, że mylą się ci wszyscy, którzy przypisują Piusowi XII politykę ugodowego lawirowania i zajmowania często stanowiska filoniemieckiego — ponieważ w istocie Pius opowiadał się zawsze za uciśnioną Polską. Zwolennikom tego drugiego poglądu ogłoszone dotychczas dokumenty przyniosły chyba głębokie rozczarowanie. Nie ma w nich bowiem nic takiego, co by nakazywało zrewidować sąd powszechny o polityce Watykanu, nie raz jeden natomiast natrafiamy na ustęp, który może być żywą ilustracją tez „przerostów watykanizmu". Czytamy np. pismo sekretarza stanu Maglione do kardynała Bertrama, proszące w uniżony sposób o wzięcie w opiekę wiernych narodowości polskiej. W piśmie tym kardynałowi wrocławskiemu przypisana jest nie tylko „troskliwość i dobroć", „gorliwość i czynne miłosierdzie", ale również „dokładanie jak największych wysiłków", by katoliccy robotnicy polscy mieli swobodę kultu itp. „Już dawniej z chwalebną gorliwością zajmowałeś się polskimi katolikami" — lekką ręką z Rzymu do Wrocławia pisał kardynał-sekretarz stanu.

„Roma locuta, causa finita". Aż tu wyrywa się „Tygodnik Warszawski" i powiada najwyraźniej: „kardynał Bertram, jeden z największych propagatorów Akcji Katolickiej i wielki katolik niemiecki, był jednocześnie wrogiem polskości, nie przebierającym w walce z nią w metodach i środkach". Oto przykład dwoistości punktu widzenia, które nie raz będzie jeszcze może dzielić katolików warszawskich od katolików rzymskich (w geograficznym tego słowa znaczeniu).

Ortodoksyjne katolickie stanowisko często zajmuje również „Odra", której „glossy i notatki" mają szczególnie zaczepny ton wobec wszystkiego, co „Odrze" pachnie lewicowością i, nie daj Boże, marksizmem. „Odra" posunęła się aż do tego, że dokumenty z cyklu „Watykan a Polska" nazwała „rewelacyjnymi" i przypisała im „niepospolitą odwagę w nazywaniu zbrodni niemieckiej po imieniu". Dalej w brązownictwie trudno się posunąć. Autor owej notatki kończy: „wśród wrogów Stolicy Świętej w Polsce konsternacyjne milczenie". Jeśli „wrogami Stolicy Świętej" nazywa autor przeciwników kursu politycznego Watykanu za pontyfikatu Piusa XII — radość jego wydaje się co najmniej przedwczesna.

Wymieniając czołowe wydawnictwa katolickie nie podobna jednak ominąć oficyn czasopiśmiennictwa katolickiego, które pod względem rozpowszechnienia i wpływów na swoich odbiorców zajmują w każdym razie pierwsze miejsce. Gdy prądom społecznego postępu w katolicyzmie polskim brak zdecydowania, śmiałości, pójścia za wzorem francuskim — katolicyzm dewocyjny odznacza się nieskazitelną konsekwencją w swej negacji jakiegokolwiek postępu i w ślepym przywiązaniu do proboszczowskich tradycyj typu Majdańskiego czy OO. Franciszkanów z Niepokalanowa. Wydawnictwa katolickie tego typu mało mają wspólnego z katolicyzmem myślącym, a nic już zgoła z katolicyzmem postępowym. Ale są wydawane obficie i czytywane, sam należę do pilnych czytelników „Rycerza Niepokalanej", „Głosu Karmelu" itp., gdyż dają one obraz w niczym niekłamany tej strawy duchowej, którą karmią się niemałe jeszcze rzesze, zwłaszcza na głębokiej prowincji. Parę przykładów nauk udzielanych przez „Rycerza" zobrazuje najlepiej atmosferę i poziom myślowy tych wydawnictw: „Rodzice, chcecie wychować dzieci wasze na szczęśliwych ludzi, pamiętajcie przyzwyczajać je od wczesnej młodości do bezwzględnego posłuszeństwa"; „Szkołę trzeba dzieciom dać, gdyż to jest ważne, ale nie najważniejsze, bo dziś ludzie na ogół są wykształceni"; „Naszej ojczyźnie potrzeba właśnie teraz dużo młodych świętych"; „W rodzinie katolickiej jest u wejścia kropielniczka ze święconą wodą. Każdy się żegna tą wodą, udając się w podróż, młodzi państwo, gdy idą do ślubu itp."; „Duży obraz religijny jest w domu konieczny. Można go otoczyć doniczkami, zielenią, zawiesić przed nim lampkę i zapalać ją na czas pacierza. Byłby to jakby ołtarzyk rodzinny. Niech tu będzie wszystko to, co najświętsze dla rodziny"; „Musimy żądać osobnych plaż i miejsc kąpielowych dla mężczyzn i osobnych dla kobiet"; „Należy ze sportu i wychowania fizycznego oddzielić chłopców od dziewcząt, dorosłych mężczyzn od dorosłych kobiet. Tych prawie nagich sportowców fotografują i umieszczają potem te fotografie w gazetach. Następnie oglądają to miliony ludzi. W ten sposób ogałaca się naród ze wstydliwości".

Czy „Tygodnik Powszechny" nie powinien poświęcić trochę uwagi tym pisemkom trywializującym sprawy czysto religijne?

jaszcz

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA W TRZECH TOMACH

ŁĄCZNA OBJĘTOŚĆ 833 STRON

CENA KOMPLETU ZŁ 480

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Z KRAJU MILCZENIA

STR. 278 STR.

ZŁ — 180 —

WRZESIEŃ 1939 — OBOZY PARTYZANTKA A.K.

MICHAŁ SZOŁOCHOW

CICHY DON

TOM PIERWSZY

CZĘŚĆ I STR. 144 ZŁ. 100·—

CZĘŚĆ II STR. 168 ZŁ. 120·—

CZĘŚĆ III STR. 227 ZŁ. 160·—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

»CZYTELNIK« SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Kronika francuska

Śmierć Octave'a Aubry. W przeddzień przyjęcia do Akademii Francuskiej zmarł nagle w swym mieszkaniu przy rue Bonaparte w Paryżu, historyk Octave Aubry. Pozostawił on po sobie duży dorobek naukowy, m. in. 15 dzieł poświęconych Napoleonowi I. Jednym z ostatnich szkiców Octave'a Aubry był piękny essay o pani de Staël, walczącej przeciw Napoleonowi w imię liberalizmu i demokracji.

O buddyzmie. Sprawa Indyj znów staje się aktualna i budzi wszędzie zainteresowanie. Zapełniając lukę w francuskiej literaturze popularnej, pani Simone Grené wydała książkę „Pensées bouddhiques", złożoną z 3 części: „Historia buddyzmu", „Doktryna buddystyczna" i „Myśli wybrane" (antologia przekładów).

Radio paryskie dało interesujący koncert przedwcześnie zmarłego kompozytora, Piotra Vellones, według poematu Jean Lahora „Król Salomon". W koncercie tym wzięli udział: soliści, chóry i orkiestra.

Szwajcarski kapelmistrz, Fritz Kneuschin, zdobył tak wielkie powodzenie w Paryżu, że musiano koncert powtórzyć.

Paryż stolicą muzyki. Zdaniem p. Gandrey-Rety (który wyraził je w tygodniku „Opera"), od śmierci Wagnera — Paryż stał się stolicą muzyczną świata. César Franck, Saint Saëns, Lalo, Chabrier, Massenet, d'Indy, Fauré. Debussy, Ravel, Roussel, Satie, Michaud, Messiaen i inni sprawili, iż Francja współczesna odgrywa w dziedzinie muzyki taką rolę, jak Niemcy przed 100 laty. Nie wiadomo jednak jaka będzie przyszłość muzyki francuskiej, skoro rząd Czwartej Republiki nie może na koncerty symfoniczne łożyć takich sum, jakie mają do dyspozycji Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Wielka Brytania.

Pamięci Edwarda Bourdet. Podczas wojny zmarł słynny komediopisarz, Edward Bourdet, znany także i u nas jako autor satyry na francuskich wydawców pt. „Vient de paraitre". Bourdet był przed samą wojną dyrektorem Komedii Francuskiej, wprowadził do repertuaru „Asmodeusza" Mauriaca, a jako reżyserów zaprosił słynnych reformatorów: Copeau, Dullina, Baty i Jouveta. Obecnie ukazała się we Francji książka poświęcona Bourdetowi, napisana przez jego żonę Denizę, ze słowem wstępnym Jacques Copeau.

Na tematy rosyjskie. W paryskim wydawnictwie „Plon" ukazał się przekład reportażów z frontu rosyjskiego korespondenta wojennego, Borysa Polewoja z okresu: od sierpnia 1943 do kwietnia 1944 pt. „Od Biełgorodu do Karpat". Równocześnie w „Collection Descartes" Albina Michel ogłoszono 2 tomową monografię o Puszkinie, napisaną przez laureata Goncourtów z r. 1938, Henryka Troyat. Wymienić tu też można przekład książki angielskiego pisarza Henry C. Cassiday pt. „Moskwa". Książka ta zawiera nieznane szczegóły z przebiegu gigantycznej bitwy 1941—1943 na froncie wschodnim.

Dramat L. Tołstoja „Potęga ciemnoty" jest grany w paryskim teatrze „De l'Humour".

Sztuka o konspiracji. Krytyka paryska przyjęła z wielkim uznaniem sztukę młodego autora Maurice Clavela, „Les Incendiaires", której tematem jest francuski Ruch Oporu.

„Magazyn Spektakli". We Francji powstało nowe pismo, poświęcone sprawom teatralnym. Nazywa się ono „Le Magasin du Spectacle" i ma podawać informacje o wszelkich rodzajach widowisk we Francji i za granicą. Pierwszy numer przyniósł m. in. nieznaną sztukę hiszpańskiego poety, Garcia Lorca (zamordowanego przez wojska gen. Franco), w tłumaczeniu Matyldy Pomès. Ponadto słynny reżyser rosyjski, Pudowkin, pisze o montażu i dźwięku, a Denis Mane daje portret René Claira.

Uczczenie pamięci Debussy'ego. W rocznicę śmierci Debussy'ego muzycy francuscy uczcili pamięć wielkiego twórcy uroczystym wieczorem. Marguerite Long naszkicowała biografię Debussy'ego i przypomniała jego zasługi dla Francji. Następnie odegrano: „Pieśni Bilitis", „5 poematów Baudelaire'a" i „Sonaty".

„La folle de Chaillot". Pośmiertna sztuka Giraudoux, pisana w okresie okupacji a grana obecnie z wielkim powodzeniem przez Jouveta, ukazała się także na półkach księgarskich (nakładem firmy Grasset). Przy tej sposobności „Nouvelles littéraires" przypominają, że Giraudoux był wielkim miłośnikiem sportów i że w młodości osiągnął piękny wynik: 50 sekund w biegu na 400 metrów.

„Złota księga". Ukazała się „Złota księga filmu francuskiego", poświęcona najlepszym obrazom Francji. Trzeba przyznać, że filmowcy francuscy mają istotnie się czym pochwalić!

Różnice smaku. Raymond Las Vergnas, po powrocie z Londynu stwierdza w tygodniku „Opéra" — „głęboką i fundamentalną różnicę między opinią anglosaską a francuską w sprawach estetyki i smaku. Np. czytani z najgłębszym uznaniem przez szeroką publiczność francuską i przez intelektualistów pisarze brytyjscy są bardzo zimno traktowani we własnej ojczyźnie. Autor cytuje nazwiska Cronina, Rosammundy Lehman, Bromfielda, Steinbecka i Charles Morgana, wspaniałego powieściopisarza oraz autora pięknej sztuki „Lśniący strumień".

Przyjaźń francusko-czeska. Stowarzyszenie katolików francuskich „Amitié Française", ktoremu przewodniczy redaktor „Temps présent", Stanislas Fumet, (ojciec publicystki Angèle Fumet, która niedawno odwiedziła Polskę) urządziło przyjęcie dla przebywających w Paryżu studentek i studentów czeskich. Serdeczne przemówienie wygłosili: St. Fumet, M. Douorche; Czech — M. Micko. Należy dodać, że to samo stowarzyszenie przyjmowało poprzednio także i studentów polskich.

Francuska książka o Oświęcimiu. W Paryżu ukazała się książka Guy Kohena pt. „Powrót z Oświęcimia" (Wspomnienia deportowanego nr 174 949).

Sprawa energii atomowej. W wydawnictwach „Revue d'Optique", ukazało się wielkie, 400-stronicowe dzieło, poświęcone energii atomowej z przedmową prof. F. Jolliot-Curie. Zawiera ono m. in. oficjalny raport rządu brytyjskiego w sprawie bomby atomowej, oraz sprawozdanie amerykańskiego eksperta urzędowego H. D. Smitha o zastosowaniu energii atomowej do potrzeb wojskowych.

Dzieje Alzacji. Profesor uniwersytetu w Strassburgu, Gaston Zeller wydał historię Alzacji francuskiej od Ludwika XVI aż do r. 1940. Autor starał się pisać z możliwie największym obiektywizmem; wykazuje jednak, jak bardzo ucisk niemiecki przyczynił się do uczuciowego złączenia Alzatczyków i Francji. Uzupełnieniem tej pracy jest broszura senatora Brogly pt. „Wielka próba: Alzacja pod okupacją niemiecką w latach 1940—1944". Ale najwięcej szczegółów przynosi proces gauleitera Alzacji, Wagnera, który okrucieństwem dorównał katowi Wielkopolski, Greiserowi.

Duhamel w Ameryce. Wielki powieściopisarz francuski, Georges Duhamel odbył 10-tygodniową podróż po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Podczas podróży Duhamel wiele pracował: autor „Salavin" wygłosił 50 odczytów, czasem po kilka dziennie!

Niebezpieczeństwo. Po powrocie z Ameryki Duhamel z okazji rozdania nagród w Akademii Francuskiej poruszył zagadnienie książki francuskiej. Z powodu braku papieru, zagranica wydaje dziś książki francuskie lepiej i taniej, niż sama Francja. Wydawcy francuscy musieli częściowo odstąpić przysługujące im prawa. W ten sposób, stwierdza Duhamel „Francja traci kontrolę nad swym życiem intelektualnym".

Do dyplomacji! Romain Gary, autor słynnej książki o polskiej partyzantce pt. „Education européenne", został zwolniony z wojska i udaje się na placówkę dyplomatyczną do Sofii.

Historycy pierwszej wojny światowej. Członkami „Académie des Sciences morales et politiques" zostali dwaj wybitni dziejopisarze pierwszej wojny światowej, Camille Bloch i Pierre Renouvin. Ten drugi, inwalida pierwszej wojny światowej, wybitny specjalista w sprawach dyplomatycznych i politycznych, interesuje się żywo sprawą polską.

Akademik zmarły w obozie. W r. 1944 zginął w obozie w Buchenwaldzie prezydent francuskiej „Académie des Inscriptions et Belles Lettres", Henri Maspero. Kolega jego i obecny prezyden, Louis Halphen, również więzień tego obozu, cudem tylko uniknął śmierci. O prezydencie „Société des Amis d'Anatole France", Jacques Lionie nie ma dotychczas wiadomości od chwili jego deportowania do Rzeszy.

Przedłużenie praw autorskich. Pierre Chaulaine, prezydent Stowarzyszenia Pisarzy-Kombatantów we Francji uzyskał u ministra wychowania narodowego przedłużenie prawa własności dla dzieł pisarzy poległych za ojczyznę na froncie, w partyzantce czy w obozach koncentracyjnych. Prawo to z 50 lat po śmierci pisarza zostało przedłużone na lat 80 (czyli o lat 30).

wn

MAUROIS O ANGLII

André Maurois. Dzieje Anglii. Przekład z francuskiego **Wacława Rogowicza.** Wydanie drugie. Warszawa, Galster, Lauter i Rutkowski, 1946; tom I, str. 344, tom II str. 328.

Wydarzenia związane z wyspami brytyjskimi należą bez wątpienia obok historii rzymskiej do tematów najbardziej pasjonujących dla ludzi pochodzenia nie tylko europejskiego, lecz i mieszkańców innych kontynentów. Tak się złożyło, że na tych właśnie wyspach powstał ośrodek dyspozycyjny polityczny, ustrojowy i gospodarczy, który wpłynął wybitnie na kształtowanie się rzeczywistości dziejowej w epoce nowożytnej, ściślej powiedziawszy od wieku XVI. Pominąwszy nawet dzieje kolonii i rozrost imperium brytyjskiego, przypatrywanie się ludziom i instytucjom Anglii stało się pouczające, potrzebne i ciekawe. Zdaje się, jakoby olbrzymia masa wysiłków umysłu i woli, włożona w dzieje tego kraju, promieniowała jakimś niezwykłym urokiem i odżywała w rozważaniach późniejszych generacyj. Wielu pisarzy angielskich święciło największe swoje tryumfy, nawiązując do tego co w przeszłości angielskiej było dynamiczne, zdecydowane, po ludzku sądząc: wielkie. Uległ temu urokowi w XVII wieku filozof Dawid Hume, uległ w XIX w. Whig Thomas Babington Maculay i Treeman i Carlyle i Froude, uległ w powieści historycznej Walter Scott czy Charles Kingsley, historycy niezawodowi, lecz oczarowani wielkością przedmiotu, stali się namiętnymi piewcami ojczystego kraju. Nie trudno byłoby tu wliczyć przewodników myśli imperialnej, jak Dilke i Seeley, żyjący wspaniałą przeszłością brytyjską i dążący wyraźnie do zapewnienia przewagi pierwiastkowi brytyjskiemu w układzie politycznym świata.

Francuzi, jako najbliżsi sąsiedzi wysp brytyjskich, interesujący się sprawami Anglii już od czasów Karola Wielkiego, który wpływał na losy nie zjednoczonych jeszcze królestw saksońskich na wyspie, obserwują i znają nieźle swoich sąsiadów. Zbyt często prowadzili z Anglią wojny, zbyt wiele stracili w walkach z nią, żeby być obojętnymi wobec tego, co się na wyspach działo. Świadczą o tym zainteresowania Monteskiusza, Voltaire'a, Tocqueville'a, Lavisse'a i Taine'a. Należy tu też cała działalność André Maurois. Jego „Dzieje Anglii" obok monografii o Disraelim, Byronie i Shelleyu są poważną próbą ujęcia zagadnienia brytyjskiego w jedną syntetyczną całość.

Jeżeli porównamy syntezę dziejów angielskich pióra André Maurois z „Short History of the English People" J. R. Greena, klasycznym popularnym obrazem historycznym, porównanie wypada na korzyść Francuza. Więcej w nim uogólnień, skrótów, uwypukleń, polotu francuskiego i talentu pisarskiego. Znać w André Maurois uczciwą znajomość faktów, panowanie nad materiałem historycznym i swobodne poruszanie się w nim. Trafne jest u niego, u literata, historyka literatury, wyzwolenie się z obsesji filologa i uwzględnianie literatury jedynie w takiej mierze, by to nie zamącało ogólnego obrazu kulturalnego danej epoki.

W siedmiu księgach bierze autor do rąk i kładzie na szali rozważań wypadki i ludzi Wielkiej Brytanii. Wykład jest żywy, odrzuca balast przytłaczający zwykle słuchacza, prostuje błędne pojęcia, trafia do przekonania, zostawiając u czytelnika wizję dawnych spraw dziejowych. Nowe wyraźne oświetlenie, sądy bystre i zdecydowane, to wielka zdobycz z lektury tych siedmiu ksiąg-rozdziałów.

Rozdziały te są zbudowane na zasadach rytmiki. Każdy ma dziesięć podtytułów, grupujących najważniejsze zagadnienia, postacie, wydarzenia. Całe opowiadanie jest biografią państwa jako organizmu żywego, rozwijającego się i działającego. Autor stale podkreśla dobre warunki geograficzne, doskonałe elementy etniczne i rolę doświadczenia, cierpliwe szukanie pozytywnych rozwiązań w zakresie najlepszego ustroju politycznego, widoczne w historii Anglii. Nie ma u autora bezkrytycznego podziwu, nie ma zachwytów, ale brak też słów potępienia dla krwawych nieraz i okrutnych scen w tej wielkiej biografii zbiorowości angielskiej.

Jednym z punktów wyjścia w rozważaniach A. Maurois jest doniosłe w skutkach zdobycie Anglii w roku 1066 przez Normandów i odmieniony odtąd tok wypadków i procesów ustrojowych na wyspach brytyjskich w porównaniu z kontynentem. W Anglii król, mając przewagę nad baronami, pozwala zorganizować swobody lokalne, zostawione przez Sasów i zmusza baronów do ich szanowania. We Francji biurokracja królewska narzuca się przemocą i tłumi w zarodku dążenia do swobody. Maurois nie przecenia Wielkiej Karty z roku 1215. Stwierdza, że poczynania zbrojne i ustrojowe Szymona de Montfort nie stworzyły jeszcze parlamentu. W dalszym przebiegu dziejów kwestię woli społeczności wyrażającej się w Izbie Gmin, uważa za biegun magnetyczny, z którego wymierzać trzeba wszystkie zjawiska angielskiego życia zbiorowego. Tudorowie czyli tryumf nowej monarchii rozpatrywani są pod kątem wyzwolenia się władzy królewskiej spod władzy stanów. Księga piąta, dotycząca Stuartów, kreśli dzieje ich pognębienia przez stany. Od roku 1689 datuje autor panowanie oligarchii, od roku 1832 dążenie sił demokratycznych do wyzwolenia się spod wpływów arystokracji.

Do najlepszych rozdziałów należą rozważania na temat zrzeszeń średniowiecznych, cechów, uniwersytetów, zakonów żebraczych, następnie przedstawienie rewolucji rolniczej, przemysłowej i uczuciowej czyli odrodzenia religijnego za Wesleyów w wieku XVIII. Zapewne, ozdobą książki są charakterystyki, krótkie, zwięzłe, plastyczne poszczególnych władców — pyszna, nowa, mocna sylwetka na przykład Henryka VII — ale ważniejsze, potrzebniejsze byłoby oświetlenie z dzisiejszego punktu widzenia spraw społecznych, gospodarczych i kulturalnych W. Brytanii.

Dobrze się stało, że wydawcy wznowili „Dzieje Anglii", w gotowym, doskonałym zresztą przekładzie Wacława Rogowicza. Należy żywić nadzieję, że ujrzymy wkrótce na rynku wydawniczym historię Rosji, zaznajamiającą nas z jej dziejami. Brakowi wielkiej, panoramicznej historii Stanów Zjednoczonych zaradzić by można, przekładając monumentalną pracę Woodrowa Wilsona „History of American People".

Z rzeczy syntetycznych angielskich, obok książki André Maurois, która staje się obecnie dostępna i będzie na razie głównym polskim źródłem wiedzy o Anglii dla szerokich rzesz, pomyśli zapewne któryś z wydawców o uprzystępnieniu znakomitej książki Esmé Wingfielda Stratforda pt. „History of British Civilisation". Byłoby to doskonałe uzupełnienie cennej pracy Maurois.

Stanisław Helsztyński

Ameryka wczoraj i dziś

Staraniem ambasady amerykańskiej urządzono w gmachu Biblioteki Jagiellońskiej wystawę „Ameryka wczoraj i dziś".

Amerykę wczoraj reprezentuje globus Jagielloński, pierwszy pokolumbowy z 1510 r., cacko misterne i cenne, które skopiowali Amerykanie jeszcze przed wojną. Wczoraj — to litografie Bostonu, czy New Yorku sprzed stu lat, to scena z albumu przedstawiająca okres walk o niepodległość, to listy Washingtona. Pamiątki te osobliwe i rzadkie, wydobyte z rękopisów, grafiki i działu kartograficznego Biblioteki Jagiellońskiej budzą pietyzm, a w polskim widzu nawet wzruszenie. W obraz przeszłości drugiej półkuli wpleciono bowiem bardzo zręcznie nie tylko Kościuszkę, ale i Kajetana Węgierskiego i Cypriana Norwida, którzy podróżniczym szlakiem wyprzedzili tak później liczną polską emigrację „za chlebem".

Ameryka dziś — jej skrócony, fragmentarycznie ujęty obraz — po prostu oszałamia. Fotografie wyją, krzyczą, gwiżdżą, trzeszczą i turkoczą w oszalałym, częstotliwym pędzie masy i ogromu. Oto z dworca New York co 5 ½ sek. odjeżdża pociąg osobowy, a co 4½ sek. towarowy, tu ładują bawełnę, tam budują okręty, gdzie indziej wiercą pokłady węgla, albo dopingują okrzykami grających piłkarzy. W kaszkietach, melonikach, w wojskowych furażerkach — biali, czarni i żółci szczerzą zęby w uśmiechu, ćmią fajkę błogosławionego pokoju pracy i reprezentują „oblicze narodowościowe masy robotniczej w Ameryce", której dziełem i Detroit z zakładami H. Forda i Los Angeles — ośrodek przemysłu filmowego i baza na Aleutach i wojenne okręty przywożące dziś Europie zapasy UNRRA.

Rozmach, dynamizm, mechanizacja i standart — to cechy Ameryki.

Aktualność i zasadniczy nurt amerykanizmu reprezentują nie sylwety mężów stanu, nie fasada New York Public Library z powiewającymi sztandarami Narodów Zjednoczonych, ale tempo życia i pracy widoczne w cieniu drapaczy chmur i na bystrych wodach Columbia River żywiących dostatnio poławiaczy łososi.

Nie jest chyba prostym przypadkiem, ale celowym i słusznym dążeniem amerykańskiej propagandy, że wiele fotografii poświęcono dziecku; przecież jego zdrowie, wyzyskanie uzdolnień i przygotowanie do sprawnego pełnienia przyszłych obowiązków jest gwarancją przyszłości USA.

Obok fotografii nieliczne, ale doborowe są też na wystawie wydawnictwa z lat 1941—46 poświęcone nauce, literaturze, sztuce, ale nade wszystko technice. Książka o telewizji czy o lotniskowcach to wyraz współczesnych zainteresowań Nowego Świata.

Irena Barowa

Pozdrowienie Pomorza Zachodniego

Stanisław Helsztyński. W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego. Szczecin, 1946; str. 70 i 2 nl.

Stanisław Helsztyński jest zapalonym regionalistą. Przed kilkunastu laty wydał cały cykl sonetów „Nad Wartą, Notecią i Obrą", teraz, jeden z pierwszych, powitał gorąco Pomorze Zachodnie. Książeczka, drukowana skromnie w Szczecinie takimi czcionkami, jakie pierwsza zorganizowana Drukarnia Państwowa początkowo miała, przynosi notatnik radosnych wzruszeń i żarliwych wezwań do pomnażania polskości.

Helsztyński cieszy się każdym odnalezionym dowodem, świadczącym o politycznej czy kulturalnej przynależności Ziem Odzyskanych do macierzy. Głosi więc zarówno tryumf Galla Anonima i Janka z Czarnkowa, pragnąc z ich kronik uczynić źródła wiedzy o polskim Pomorzu, jak i księdza Stanisława Koziorowskiego, autora atlasu imiennictwa topograficznego. W Pile wyczuwa obecność Staszica, którego społeczny testament obecnie dopiero staje się rzeczywistością. Podsuwa też wiele interesujących tematów literackich (wdzięczne postaci Piastowiczów Kaźka i Filipa). Wrażliwy na piękno przyrody (duma o żeglarzu Wulfstanie) i sztuki (Starogard nad Iną) daje Helsztyński w swej książeczce wiele podniet, które zapewne doczekają się niebawem szerszego naukowego, czy literackiego opracowania. Tymczasem lektura „W piastowskich grodach" jest przede wszystkim dla nowych gospodarzy Pomorza Zachodniego krzepiącym upewnieniem, że pracują na własnej ziemi.

Stefan Papée

O NAS W PRASIE ZAGRANICZNEJ

Greiser w zoologu

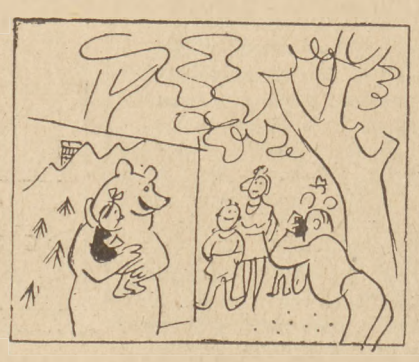

Niedźwiedzie na ulicach miasta

Masowa ucieczka ludności miejskiej do lasu...

Niszczenie literatury polskiej

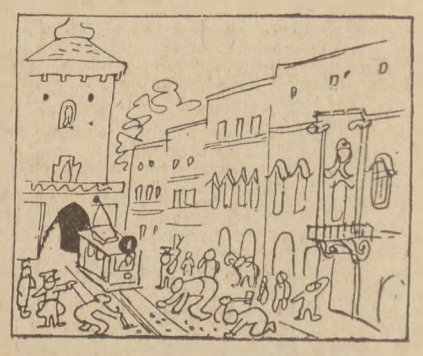

Przerabianie tramwajów wąskotorowych na szerokotorowe...

rys. Charlie

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 13594
Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".